Nr. 45. stanowi oddzielną całość. 15 kop.



SZERLOK HOLMES
TYGODNIK KRYMINALNY.



Milczenie ścian.

Warcząc i pokazując zęby, stała lady Florence, pies policyjny nad złoczyńcą.

Nr. 45 Kraków, dnia 9 kwietnia 1910. Nr. 45

Przedruk wzbroniony.

Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3·60, mk. 3·60, rs. 2·—.

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.

Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

Prawo przekładu na inne języki zastrzeżone.

Cena numeru pojedynczego 30 hal., 25 fen., 15 kop.

Wychodzi w każdą sobotę.

Główny skład na Królestwo Polskie: Księgarnia Komisowa w Warszawie, ul. Waliców 5.

MILCZENIE ŚCIAN.

ROZDZIAŁ I.

Samobójstwo przy telefonie.

Fred North, naczelny prokurator Londynu, siedział w swojem biurze zajęty studyowaniem aktów. Wypadek, w którym miał przed sądem przysięgłych zastępować państwo, jako oskarżyciel publiczny, był nader ciekawy. Dlatego też czytał powtórnie wszystkie akta, aby opanować cały materyał procesowy na publicznej rozprawie.

Nagle rozległ się dzwonek od telefonu.

Zły, że mu przeszkodzono, powstał i poszedł do aparatu.

Wziął jedną słuchawkę i zawołał:

— Tu dyrekcya policyi, oddział prokuratora Northa. Tam kto?

Z początku słyszał tylko szmer drutów, później doszła do jego uszu wyraźna odpowiedź:

— Tutaj Jonatan Field, właściciel banku. Panie prokuratorze, chcę tylko donieść, że się zabijam. Niech pan będzie tak grzeczny i każe przenieść moje ciało do kostnicy. Strzelam się w mojem prywatnem mieszkaniu, Kweenstreet 16, pierwsze piętro.

Osobliwe w swoim rodzaju doniesienie przeraziło tak dalece prokuratora, że w pierwszej chwili nie mógł wymówić ani słowa, zmieszany przysłuchiwał się tylko. Wnet jednak odzyskał równowagę i zawołał do telefonu:

— Co pana napada? Panie Field! Zaprzestań pan głupich żartów. Dlaczego pan chce popełnić samobójstwo?

— Straciłem ochotę do życia. A oprócz tego, w ostatnich czasach przegrałem wiele na giełdzie.

— Przecież chyba strata nie zmusza pana do popełnienia takiego kroku. Miejże pan rozum!

Odpowiedź telefonem była:

— Nigdy jeszcze nie byłem tak mądry, jak w tej chwili. Tracisz pan czas niepotrzebnie, odwodząc mnie od tego kroku. Już nic nie może zmienić mego postanowienia.

Prokurator był rozdrażniony całą rozmową:

— Nie ma pan żadnej podstawy. Pozwól pan sobie wytłómaczyć, że pan chce głupstwo zrobić— zawołał.

Przerwał mu krótki, urywany uśmiech:

— Za późno. Nie da się już rzecz naprawić. Jestem przygotowany na tę ostateczność. Stoję przy telefonie i mam przy lewem uchu słuchawkę, przy prawem zaś lufę rewolweru. Czuję już zimną stal, która dotyka mej skroni. Żadnych życzeń nie mam. Z mojem ciałem niech stanie się, co chce. Cóż może mnie obchodzić bryła zimnego ciała. Pieniądzmi, które pozostaną, niech się nacieszą moi dziedzice.

— Panie Field — zakrzyczał prokurator głośno do telefonu, jakby miał ochotę swoim krzykiem odwieść go od samobójstwa.

— Zastanów się pan — zawołał jeszcze raz Fred North.

— Do widzenia, panie prokuratorze!

Usłyszał tylko jeszcze jedno słowo:

— Koniec!..

Równocześnie doszedł do jego uszu krótki trzask, jakby strzelono z bicza. Takie przynajmniej odniósł wrażenie.

Musiał to być strzał.

— Panie Field, panie Field! Posłuchaj pan!



Prokurator nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Słyszeć było można tylko szum przewodów.

Obcy zupełnie głos zapytał:

— Mówi pan jeszcze?

Był to głos telefonistki z centrali.

Prokurator opanował ogarniające go wzruszenie i spytał jej odrazu:

— Z kim byłem przed chwilą połączony?

— Z Jonatanem Field. Liczba 2637.

— Dziękuję bardzo!

Opanowało go przerażenie; rozmyślał nad zaszłym wypadkiem: Jonatan Field, znany ogólnie kierownik wielkiego banku Field, doniósł o swem samobójstwie. Słyszał nawet strzał przez telefon.

Mimowoli popatrzył na zegarek: była godzina za pięć minut dziesiąta.

Lecz jego dział nie miał nic wspólnego z samobójstwami; to było rzeczą policyi, która powinna się postarać o usunięcie trupa.

Fred North znał samobójcę tylko z nazwiska.

Właściwie nie miał już więcej nic do czynienia w tej sprawie. Miał tylko bolesne uczucie, że mimowoli musiał być świadkiem, tak smutnego dramatu.

Prokurator połączył się telefonicznie z inspektorem policyi z Scotland Yardu, mc. Gordonem. Opowiedział mu całą rozmowę telefonem i poprosił, aby zajęto się tą sprawą.

Po podaniu dokładnego czasu popełnienia samobójstwa, odpowiedziano mu:

— Na Kweenstreet wyślemy naszego detektywa Thomsona.

Kiedy siedział znowu przy biurku nad aktami, od których go niespodziewanie przedtem oderwano, rozmyślał przez krótki czas i mówił sam do siebie:

— Właściwie niema sensu, do tak zwykłej sprawy, jaką jest w tym wypadku samobójstwo bankiera, nie ulegające bezsprzecznie żadnej wątpliwości, posyłać najdzielniejszego detektywa. On przecież nie skonstatuje nic więcej ponad zwykłe samobójstwo popełnione przy telefonie.

ROZDZIAŁ II.

A może to zbrodnia?

Mały niepokaźny mężczyzna, o szczupłej twarzy, pokrytej zmarszczkami, bez zarostu.

Takim był Thomson.

Postawa jego sprawiała wrażenie słabego człowieka, a jednak należał on do najbardziej obawianych detektywów w Londynie.

Miał polecenie, zabrać nieboszczyka, który przedtem sam doniósł o zamierzonem samobójstwie policyi.

Thomson zabrał ze sobą lekarza, aby na miejscu skonstatował śmierć, względnie pomógł mu w ratowaniu, o ileby tego zaszła potrzeba.

Wkrótce znaleźli się na Kweenstreet.

Szukany dom był wspaniałym budynkiem, w którym poszczególne piętra zajęte były przez pojedyńczych mieszkańców.

Z ulicy już przekonał się Thomson, że drugie piętro jest niezamieszkane albo też mieszkańcy wyjechali widocznie.

Na pierwszem piętrze zadzwonili, jednak nie otwarto urzędnikom. Nie namyślając się długo wyjął detektyw wytrych i otworzył drzwi prowadzące na korytarz.

Straszny widok przedstawił się obu wchodzącym.

W przedpokoju na ziemi, w miejscu, gdzie był umieszczony przy murze telefon, leżała zesztywniała postać zmarłego. Głowa leżała zwrócona do ściany, na lewej skroni, tak, że wyraźnie widzieć było można, jak z prawego ucha sączyła się ciemna krew. Płynęła bardzo skąpo i była już w części zaskrzepła.

Ręce zmarłego były zaciśnięte w kułak.

Rewolwer leżał koło zastrzelonego. Odrzucony był niezgrabnie na bok.

Lekarz pochylił się nad zwłokami i badał ranę.

Thomson tymczasem podniósł rewolwer i oglądał na wszystkie strony. Przypatrywał się mu okiem znawcy. Jeden nabój był tylko wystrzelony. Otwór był trochę przez strzał osmolony. W pięciu pozostałych otworach tkwiły naboje.

Lekarz wstał:

— Wszelki ratunek niemożliwy. Strzał wszedł do ucha i spowodował natychmiastową śmierć.

Thomson potwierdził skinieniem głowy.

Coś go widocznie musiało zaciekawić, gdyż poszedł do telefonu i przypatrywał się mu uważnie. Musiał zrobić ważne odkrycie, gdy na jego szerokich ustach zaigrał uśmiech zadowolenia.

Pochylił się nad umarłym i rzekł do lekarza:

— Zdaje mi się, że samobójca stracił bardzo mało krwi. Czy nie tak?

— Naturalnie! To jednak należy przypisać pozycyi ciała, w jakiej leży. Oprócz tego zaskrzepła krew zatkała zaraz otwór rany.

— Możliwe! A kiedy mogła nastąpić śmierć?— wypytywał dalej.

— Przed dwoma godzinami może!

— Teraz jedenasta. Zatem o dziewiątej?

— Tak.

— W jaki sposób wytłómaczy pan, że zabity telefonował na policyę dopiero pięć minut przed dziesiątą?

Lekarz rozwarł szeroko oczy i powiedział:

— Z całą pewnością nieda się oznaczyć dokładnej godziny.

— Pan jednak nie wątpi, że zaszło samobójstwo?

— Nie — zapewnił lekarz. — Mężczyzna zabił się prawą ręką. Następnie broń wypadła z ręki. Wszystko zgadza się.

— Przypomina pan sobie, że prokurator doniósł, że po ostatnim słowie usłyszał strzał?

— Tak.

— Zmarły więc musiał się zastrzelić, kiedy mówił przez telefon?

Lekarz potwierdził, nie rozumiejąc jednak, do czego Thomson zmierza.

Detektyw wskazał na telefon:

— Słuchawka jednak znajduje się na swojem miejscu. Czy sądzi pan, że samobójca miałby czas w chwili strzału tam ją zawiesić?

— Nie musiał to przedtem już uczynić.

— W takim razie połączenie byłoby wyłączone i prokurator nie mógłby słyszeć strzału — objaśnił Thomson.

Teraz dopiero zrozumiał lekarz, że detektyw ma jakieś podejrzenie.

— Pan sądzi w takim razie, że zaszła tu zbrodnia, morderstwo?

— Nie mam jeszcze dowodów. Mam na razie tylko podejrzenia — była odpowiedź Thomsona.

Mała utrata krwi i zawieszona słuchawka telefonu wydają mi się podejrzane. W każdym razie zbadam to podejrzane samobójstwo!

Kiwając głową poszedł lekarz za detektywem.

Thomson obchodził wszystkie drzwi, które wychodziły na korytarz, otworzył je na oścież i uważnie badał schody.

Stanął przy drzwiach, prowadzących do kancelaryi zabitego i spytał lekarza:

— Widzi pan co tutaj?

Lekarz popatrzył na ziemię, oglądnął drzwi, futryny i wstrząsł przecząco głową:

— Nie mogę nic znaleźć.

Thomson zaśmiał się:

— Czy widzi pan kant schodów górnych? Tu jest czarna plama, a przy tem rysa, jakby kogoś wleczono. Tu też! Rozpoznaje pan teraz?

— Widzę już, widzę! Ale cóż to ma znaczyć?

— Niech sobie pan przedstawi sytuacyę: Morderca ujął swoją ofiarę pod ręce i z tego pokoju zaciągnął ją na korytarz. Trzewiki musiały się również zarysować w danych miejscach. Zmarły nosi czarne obuwie. Przypatrzmy się im.

Thomson wrócił z powrotem do zabitego i pilnie badał jego obuwie; na obcasach z tyłu znalazł zarysowane miejsca.

— Poznaje je pan? — zapytał lekarza. — Według moich dotychczasowych przypuszczeń popełniono morderstwo w pracowni nieboszczyka.

W kancelaryi nie można było na pierwsze wejrzenie znaleźć niczego podejrzanego.

Wszędzie panował wzorowy porządek tak dalece, że nawet zwracało to uwagę. Wydawało się jakby specyalnie uporządkowano ten pokój.

W biurku były wszystkie szafki pozamykane; żadnego papieru, ani listu nie było na wierzchu.

Nigdzie ani śladu krwi.

Lekarz zwątpił już w przebiegłość detektywa:

— Może pana przypuszczenie jest fałszywe? Gdyby nieboszczyka zastrzelono w innym pokoju, toby musiano przy telefonie drugi raz wystrzelić. Czy tak było można stwierdzić przez zbadanie znalezionego rewolweru.

Thomson jednak zaraz odparł:

— Ze znalezionego rewolweru tylko raz wystrzelono!

— W takim razie przypuszczenie pana jest bezpodstawne!

Detektyw wstrząsnął tylko głową.

— To niekoniecznie! Mamy widocznie do czynienia z inteligentnym zbrodniarzem. Przez przyzwyczajenie tylko zawiesił słuchawkę, bo przecież nie mógł tego uczynić samobójca, jak to omówiliśmy poprzednio. Zbrodniarz musiał mieć przy sobie drugą broń, z której zabił ofiarę i tą wziął ze sobą. Rewolwer z którego wystrzelił przy telefonie zostawił, aby upozorować samobójstwo.

— W takim razie musi tu być jakiś ślad zbrodni na miejscu, gdzie ją spełniono — twierdził zawzięcie lekarz.

— Tak też jest w rzeczywistości -- potwierdził Thomson.

Idzie tylko o to, czy mamy taki zmysł spostrzegawczy i dar śledczy, że ślady spostrzeżemy.

— Czy znalazł pan co? Bo ja nic! – zawołał zdenerwowany lekarz.

— Na razie niczego nie zauważyłem, coby mi wydawało się podejrzanem, chyba jedną drobnostkę.

— Nie rozumię pana!

— Przypatrz się pan dokładnie podłodze. Znajduje się na środku jasny prostokąt. Na tem miejscu musiał leżeć pierwej dywan. Jego właśnie nie widzę. Dalej: podłoga z kostek ma tą właściwość, że jak często się po niej chodzi, znajduje się na niej drobniutki piasek. Tu tak nie jest. Owszem wygląda tak, jakby ją świeżo umyto i uprzątnięto. Naprzód musimy poszukać dywanu, który tu był, jak przypuszczam.

Wywody detektywa poruszyły lekarza.

— Czy to jest możliwe? — zapytał.

Lecz nie otrzymał odpowiedzi od Thomsona, który mruczał pod nosem:

— Koło dwu metrów szeroki!

Obchodził wzdłuż i wszerz cały pokój, następnie udał się do następnego i taksamo uważnie przeszukał wszystkie sprzęty; w ten sposób przeszukiwał wszystkie ubikacye.

Kiedy wszedł do ciemnego pokoju, znajdującego się w samym końcu mieszkania, ożywił się. Zapaliwszy zapałkę rozejrzał się na wszystkie strony.

Poszukiwania jego zostały uwieńczone skutkiem.

W rogu leżał zwinięty dywan.

Thomson wywlókł go na światło dzienne i rozwinął.

Wielka, jeszcze wilgotna plama, o czerwonawem zabarwieniu ukazała się jego oczom.

Detektyw pokazał ją palcem:

— Moje przypuszczenia sprawdziły się: krew! Spełniono więc morderstwo! Ale w jaki sposób i dlaczego? Tylko ściany pracowni mogłyby wyjaśnić zagadkę. One jednak nic nie zdradzą.

Lekarz, który stał jak oniemiały, zapytał:

— Kiedy się skończy milczenie ścian? Czy wydadzą te milczące mury tajemnicę, którą posiadły?

Thomson nic nie odpowiedział; wzruszywszy ramionami poszedł do pokoju, w którym spełniono zbrodnię.

ROZDZIAŁ III.

Na śladzie zbrodni.

Detektyw był przeświadczony, że bankier padł ofiarą morderstwa.

Gdyby nie mała, w oko nawet nie uderzająca nieuwaga zbrodniarza, że po strzale dopiero zawiesił słuchawkę, byłby i Thomson zmuszony uwierzyć, że bankier popełnił samobójswo.

Nie szukałby żadnych śladów i bez długiego namysłu opieczętował mieszkanie. Nie znalazłby również zbroczonego krwią dywanu, tego najlepszego świadka morderstwa.

Ale dlaczego popełniono zbrodnię?

Napróżno starał się detektyw rozwiązać pytanie.

Podczas gdy lekarz pozostał przy nieboszczyku, Thomson jeszcze raz obejrzał dokładnie pokój, z którego usunięto dywan i w którym zastrzelono bankiera Jonatana Fielda.

Gdyby mógł wyrwać milczącym ścianom tajemnicę, o której wiedziały?

Na biurku leżało wszystko w nadzwyczajnym porządku; w otwartej kasetce znajdowało się pięćset marek. Zmarły miał złoty zegarek.

Cóż to musiał być za zbrodniarz, który z tak wielką dokładnością i przygotowaniem popełnił tak straszne morderstwo, który pozostawił nawet umyślnie pieniądze nietknięte, aby upozorować samobójstwo.

Ze wstępnych już badań swoich poznał, że w dotychczasowej, trzydziestoletniej walce z przestępcami nie spotkał się dotąd z tak rafinowanym zbrodniarzem, jak obecnie.

Po raz pierwszy opanowało go uczucie niepewności; prędto atoli otrząsnął się ze swojej apatyi, aby rozpocząć walkę z niebezpiecznym przeciwnikiem, bez względu na to, czy wyjdzie zwycięzcą, czy zwyciężonym, czy wykryje zbrodniarza, czy też nie.

Pójdzie tylko za głosem obowiązku.

Thomson przeszukał każdy cal podłogi; przetrząsnął dokładnie piec i meble, znajdujące się w pokoju. Następnie odsunął zielone, ciężkie firanki, które odgradzały pokój od biblioteki.

W niej musiał widocznie coś ciekawego znaleźć, gdyż zatrzymał się bardzo długo. Podniósł jakiś kawałeczek nitki, czy czegoś podobnego i schował do kieszeni, przyczem na jego szczupłej twarzy zaigrał przelotny uśmiech.

To trwało tylko chwilę, bo zaraz spoważniał i mówił sam do siebie:

— Nareszcie mam jakiś ślad. Ale przez to zagadka staje się zawilszą i trudniejszą do rozwiązania.

Tymczasem przybył fotograf, którego zawezwał telefonicznie i robił zdjęcia nieboszczyka.

Następnie usunięto trupa, a detektyw kazał zamknąć mieszkanie Jonatana Fielda, który był kawalerem i schował klucz do swej kieszeni.

Potem przesłuchał dozorcę domu.

Thomson załatwiwszy jeszcze co uważał za najważniejsze, powrócił na policyę, aby o tem, co zaszło, oznajmić szefowi, nadradcy policyjnemu Harremu Brownowi.

Ten był widocznie w złym humorze, bo przyjął detektywa cierpko.

— Nie rozumię pana, że pan, taki doświadczony i sprytny detektyw, tak długo zajmowałeś się całą sprawą. Przecież ma pan ważniejsze zadania do spełnienia, niż skonstatowanie samobójstwa — rzekł opryskliwie.

— A przecież dobrze zrobiłem, mr. Brown, gdyż nie dużo brakowało, a byłbym przeoczył, że popełniono tam zbrodnię, do tego jeszcze z wyszukaną umiejętnością!

Nadradca podskoczył na krześle i zawołał:

— Nie możliwe! Czy nie unosi pana zbytnia fantazya? Znałem bardzo dobrze dyrektora banku, gdyż moja żona jest jego siostrzenicą. Jonatan Field był bardzo porywczy i mógł w napadzie chwilowego zdenerwowania popełnić samobójstwo. Po nim można się było tego spodziewać!

Zamiast odpowiedzi, zdał Thomson dokładną relacyę z tego, co odkrył; przedstawił wniosek, jaki wyciągnął z zawieszonej słuchawki telefonu, jak odkrył następne ślady, a w końcu dodał:

— Mordercy zależało na tem, aby upozorować samobójstwo. Bezwątpienia musi mieć jakąś korzyść ze śmierci Jonatana Fielda, gdyż przy morderstwie z rabunkiem nie zostawiłby na biurku pięciuset marek, które tam były. Gdyby to była zemsta lub inny jaki motyw, nie byłby robił tak dokładnych przygotowań, boby one były zbyteczne.

Uważałbym za stosowne na razie nie ogłaszać nic w dziennikach o morderstwie, gdyż chciałbym, żeby morderca nie domyślał się, że wiemy już o wszystkiem. Publiczność niech sądzi, że zaszedł wypadek samobójstwa.

Mr. Harry Brown zapytał:

— Czy oprócz pana wie kto, lub domyśla się, że spełniono morderstwo?

— Nie! Powiedziałem to tylko lekarzowi, ale on zupełnie nie wierzy w moje podejrzenia.

— Co należałoby teraz zrobić, jak pan sądzi? — spytał dalej nadradca.

— Chciałbym mieć przedewszystkiem pewność, kto miał korzyść w popełnieniu morderstwa. Może z testamentu da się co wyciągnąć?

Mr. Brown odparł z uśmiechem:

— Natychmiast zwrócę panu uwagę na mordercę, albo na morderczynię, kochany Thomsonie. Powiedziałem już panu, że siostrzenicą Fielda jest moja żona; prawdopodobnie nie ma zamordowany bliższych krewnych. Chyba dalsi. Więc musiałbyś pan moją żonę uważać za morderczynię. Widzi pan sam, że pańskie przypuszczenia idą trochę zbyt daleko!

Thomson wstrząsnął głową:

— Testamentu zamordowanego jeszcze nie znamy!

— Co pan bredzi, panie Thomson. Przez pana upartość, musiałbym troszczyć się o moją żonę, gdyby testamentem została ustanowioną dziedziczką, co prawdopodobnie nastąpi, gdyż jest najbliższą krewną. Nie, mój kochany detektywie, tu musiało być samobójstwo. Krew na dywanie to tylko pewnie przypadek. Jonatan Field był krwisty i bardzo często stawiał sobie pijawki. Gdybym chciał postępować według pana wskazówek, to musiałbym teraz oskarżyć własną żonę o morderstwo!

Detektyw trwał uparcie przy swojem zdaniu:

— Nie znamy dotąd testamentu. Oprócz tego wiem z pewnością, że w pokoju bankiera był znany włamywacz i zbój, czerwony Maks.

— Co?

Mr. Harry Brown wsparł się rękami o biurko.

— Skąd pan wie o tem? — zapytał po chwili.

— Z pewnością! Czerwony Maks jest jednym z tych młodzieńców, dla których życie człowieka nie ma żadnej wartości. Morderstwo popełnił czerwony Maks.

— Czy ma pan pewne dowody, że groźny Maks był w zamkniętem mieszkaniu?

— Tak. Tu mam potwierdzenie!

Thomson wsunął ostrożnie rękę do portfelu i położył na biurku przed nadradcą coś drobnego.

— Co to takiego? Widzę włos i oderwany guzik.

Detektyw potwierdził.

— Zupełnie wystarczające. Włos jest bardzo rudy; znalazłem go w bibliotece Jonatana Fielda na jednej z książek, leżących na wierzchu w szafie. Tam ktoś ukrył się za firanką. Ponieważ musiał się wcisnąć do szafy, więc bardzo łatwo zaczepił o książkę głową i jeden włos pozostał na niej. Wysokość, w jakiej znalazłem ten włos, dozwala mi przypuszczać, jak wysoki musiał być jego właściciel. Mężczyzna był olbrzymem, blizko dwa metry był wysokim. Że równocześnie głowę miał czerwoną jak ogień, więc te szczegóły wskazują mi na czerwonego Maksa.

— To nie jest jeszcze dowodem.

Thomson wnioskował dalej, nie zważając na ten wykrzyknik:

— Znalazłem także ten oderwany guzik, raczej kawałek guzika; jest on zrobiony z rogu jeleniego. Takie guziki są przy kurtkach myśliwskich, jakie noszą w południowych Niemczech. Czerwony Maks jest synem gór, pochodzi z Tyrolu i nosi z zamiłowaniem nawet tu w Londynie swój narodowy ubiór. Wszystko to składa się na obraz sprawcy czynu. Może nim być tylko Maks.

Harry Brown powiedział do detektywa:

— O ile pana rozumię, to wyraża pan podejrzenie, że Maks jest mordercą!

— Pańskie przypuszczenia — rzekł nadradca policyi — nie są znowu tak pewne. Czerwony Maks nie zostawiłby na biurku pięciuset marek, ani zegarka. W pokoju zamordowanego mógł być. Maks nie kryłby się z morderstwem, gdyby go dokonał w celach rabunkowych. Za nim musiała stać inna osoba, która w tak mistrzowski sposób pokierowała całym planem.

Nie mogę temu uwierzyć, co pan mówi. Zdaje mi się, że znajduje się pan na fałszywym tropie, który nie przyniesie rezultatu. Cóż pan teraz będzie dalej robił?

— Czerwonego Maksa uczynię nieszkodliwym. Wymuszę na nim, czyim był wykonawcą.

— Życzę panu szczęścia — przemówił nadradca. — Wie pan o tem, jak ufam pańskiej przebiegłości. Tylko niech pan wkońcu nie przyjdzie do mnie, abym zaaresztował moją żonę, kiedy otrzyma spadek po Fieldzie.

— Nie będzie tak źle, panie nadradco! Schwycę mordercę, albo padnę ofiarą mego zawodu. Będę uważał za punkt honoru dojść w tej zagadkowej sprawie, jak najprędzej do rezultatów.

ROZDZIAŁ IV.

Lady Florence.

W knajpie piwnicznej pod „Ślepą kurą“ panowały pustki.

Lampa naftowa kopciła, a czad wypełniał niską salę. Panowała tu tak ciężka atmosfera, że zdawało się, iż można się udusić.

Gospodarz, o twarzy zmasakrowanej nożem i ranach jeszcze niedogojonych, roznosił nielicznym gościom piwo. Od czasu do czasu przystawał i nadsłuchiwał, czy z zewnątrz nie dojdzie go jaki podejrzany szmer.

Goście pod „Ślepą kurą“ nie zaliczali się do przyjaciół policyi i nie znosili jej widoku.

Naraz zawołał mały mężczyzna, o przeżytej twarzy, barwy brunatnej, jakby wiele lat przebywał pod słońcem afrykańskiem:

— Gospodarzu! Nie boisz się dziś zbiórki?

— No! Do mnie rzadko przychodzą. Tu nie ma żadnego łupu dla policyi. Tyś jeszcze niedoświadczony w naszych stosunkach. Kto cię przysłał?

— Karol z kliszczami!

Drugi odezwał się:

— Ten skończył karyerę na szubienicy!

— Tak. Siedzieliśmy w jednej celi. Sędziego jednak tak zablagowałem, że puścił mnie wolno. Przychodzę z Bremy i jestem tu obcy. Pomimo to jednak umię taksamo robotę, jak każdy inny porządny młodzieniec.

— Co potrafisz?

— Jak jest co do włamania, to potrafię się obejść z narzędziami angielskimi doskonale. W Portsmouth zostawiłem po sobie ślady niejednej sprawy, tu mogę powtórzyć to samo. Wkońcu jak potrzeba, pracuję także na czerwono.

Gospodarz zagwizdał pod nosem:

— Nie należysz widać do najgorszych. Jakie twoje imię?

— W Portsmouth nazywali mnie Murzynem.

— Dobrze cię ochrzcili. Twoja głowa jest czarna, jak u negra.

— Nie wiecie, czy taki jak ja młodzieniec nie jest poszukiwany? — zapytał mały, który przezwał się Murzynem. Na głowie miał rzeczywiście czarne kręcone loki, co wskazywało, że prawdopodobnie pochodził z ojca negra.

— Nie wyglądasz na mocnego. Ale mali też się zdadzą. Tylko, że o ile jest robota, to do niej potrzeba trochę szerszych pleców i innej postawy

Murzyn zagwizdał wesoło na końcach palców.

— Chciałbym widzieć tego, któryby się odważył zmierzyć ze mną.

— Oho, mały, wielki z ciebie krzykacz. Słyszałeś co o pięknym Maksie? Otóż właśnie nadchodzi! Dla niego musisz być z szacunkiem i respektem, choćbyś nie chciał.

Przez drzwi szynku wtoczyła się olbrzymia postać. Pierwsze, co zwracało u niego odrazu uwagę, były gęste, zmierzwione włosy, czerwone jak rdza. Długie ramiona z potężnemi pięściami poruszały się niezgrabnie w takt kroków.

— Mały Dawid zwyciężył kamyczkiem Goliata. Tego się nie obawiam! — zawołał drobny Murzyn.

Nowo gość zaśmiał się tak głośno, że aż dudniało w sali:

— Cóż to za mucha brzęczy mi koło ucha? Ktoś ty za jeden, mały?

— Ten, co zgasi ogień na twej głowie, jeśli jeszcze odezwiesz się do niego lekceważąco.

Murzyn powstał, musiał się podeprzeć rękami o stół, gdyż wskutek wypicia za wiele wina, zaprószył sobie trochę głowę.

— Ty, człowieku! Jestem czerwony Maks.

— A ja Murzyn!

— Czego właściwie chcesz?

— Nic, mówię tylko, że się nie boję nikogo w Londynie. Co ty potrafisz, potrafię i ja, a coś ty może zrobił, to ja już dawno mam za sobą.

Jeden z gości zawołał:

— Idę o zakład, że czerwony Maks posadzi w pięciu minutach Murzyna na piecu! To będzie dopiero zabawa.

To odezwanie się podrażniło małego.

— Ja zakładam się znowu — krzyknął — że ten bałwan zwali się na ziemię jak kłoda drzewa.

Czerwony Maks zaśmiał się drwiąco.

— Spróbujmy mały!

Wyciągnął swoje silne, niezgrabne łapiska po Murzyna.

On jednak wywinął się jak piskorz. Ze zręcznością, jaka nie da się opisać, przyskoczył do Maksa, chwycił jego prawe ramię dwoma rękami i przekręcił je silnie w bok, tak zostało zwichnięte. Ręka opadła bezwładnie. Maks zawył z bólu.

W tejże chwili Murzyn chwycił go błyskawicznie za nogi i poderwał. Olbrzymie cielsko Maksa runęło rzeczywiście jak podcięty pień drzewa na ziemię. Przez kilka chwil leżał bez życia, jakby ogłuszony. Mały śmiał się głośno:

— Któż wygrał zakład? Kto chce się jeszcze ze mną zmierzyć?

Pomiędzy obecnymi słychać było głuchy pomruk i wzajemne zachęty, lecz nikt nie miał odwagi stanąć do walki z niepokaźnym, a tak niebezpiecznym Murzynem.

Tymczasem powstał z ziemi Maks jęcząc:

— Co z ciebie za dyabeł? Wywichnąłeś mi ramię. Nie mogę nim wcale poruszać.

— Teraz doprowadzę je do porządku. Potem jednak popijemy razem, może w przyszłości będziemy szli nieraz na wspólne wyprawy.

Mały człowiek wprowadził ramię Maksa napowrót w staw, przyczem czerwony Maks krzyknął z bólu. Murzyn roześmiał się.

— Wiem, że to nie jest przyjemnie i widzi się gwiazdy na niebie. Teraz możesz jednak przynajmniej poruszać ręką.

Czerwony Maks spróbował:

— Idzie, ale siarczyście ciężko. Dobrze, że dziś nie mam nic do roboty.

— Za to oblejemy naszą przyjaźń. Mówię ci, że nie będziesz potrzebował się wstydzić za mnie.

— Jeśli jesteś tak sprytny w rozbijaniu kas, jak w wykręcaniu rąk, to możemy wspólnie pracować.

Murzyn odpowiedział szeptem:

— Mów po cichu! Albo chodźmy stąd! Wiem dobre miejsce!

— Tu nikt nas nie zdradzi.

— Jabym wolał wyjść stąd.

Czerwony Maks co chwilę dotykał swego ramienia, które go bolało, kiedy tylko niem mocniej poruszył.

— Nie mogę stąd wyjść. — rzekł — Mam obstalunek.

— Kto to jest?

Maks przypatrzył się na swego nowego kolegę, jakby chciał przekonać się, czy można mu zawierzyć, czy nie. W końcu odezwał się:

— Raz robiłem już dla niego!

— Czy da jakie świeże polecenie?

— Nie wiem jeszcze.

— Pewny z niego wspólnik?

— Zupełnie.

— Ile razy robiłeś już dla niego?

— Raz jeden.

— Włamanie pewnie?

— Nie!

— A co?

Czerwony Maks nie odpowiedział natychmiast, ale milczał kilka sekund, jakby namyślał się nad czemś.

— To jest moja rzecz, mały!

— Obojętne! Nie muszę wiedzieć. Mógłbyś mnie jemu polecić. Nie jestem najgorszy. Jak potrzeba — dodał ciszej — umię także robić na czerwono.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Maks — sądzisz może, że ja już raz...

Na swe pytanie nie otrzymał żadnej odpowiedzi, gdyż w lokalu zjawił się może piętnastoletni chłopak, o łotrowskim wyglądzie twarzy, a z oczu jego wyczytać można było nie tylko zepsucie, lecz także wyrafinowanie.

Szukał kogoś na sali: przystąpił do Maksa, oddał mu karteczkę i dodał:

— Od niego! Masz uważać na język!

— Nie przyjdzie sam?

— Nie. List dał mi jakiś obcy pan; powiedział, że po przeczytaniu wszystko zrozumiesz.

— Już dobrze!

Chłopak odszedł ze zgryźliwym uśmiechem na ustach.

Maks rozerwał kopertę, aby przeczytać list. Kiedy Murzyn nachylił się, aby również poznać treść listu, odsunął go Maks od siebie, co nie mało go zirytowało:

— Nie masz zaufania do mnie? Zrobię z nim dobry interes może prędzej, niż sam myślisz.

Kilka tylko wierszy przeczytał Maks.

Potem przypatrzył się na swego towarzysza, a oczy zabłysły mu jak u wilka.

I zanim Murzyn zoryentował się w sytuacyi, czerwony Maks porwał go za kręconą czuprynę i pociągnął.

Włosy zostały w ręku czerwonego Maksa.

Pod czarną peruką pokazały się krótko strzyżone włosy.

— Przypatrzcie się! — zawołał olbrzym — baran stracił swą wełnę! To jest szpieg. Pomóżcie mi, żywym nie może stąd wyjść!

Wszyscy goście nadbiegli i otoczyli kołem stół, przy którym siedzieli poprzednio czerwony Maks i Murzyn.

Murzyn również wstał, a w oczach przebijało się zdecydowanie na wszystko; zagryzł usta i czekał, co dalej nastąpi.

W rękach zebranych zabłysły noże; czerwonego Maksa znali, a Murzyn był dla nich obcy. Że miał włosy przyprawiane, to wzbudzało w nich podejrzenie. Olbrzym krzyknął znowu:

— Wiecie kogo mamy w naszem towarzystwie, jakiego ptaszka? Przypatrzcie się mu dobrze, to jest Thomson detektyw!

Na chwilę zaponowała cisza; zaraz jednak potem rozległ się krzyk i wołania:

— Powiesić go na haku!

— Zabić szpiega!

Wszyscy chcieli jego śmierci.

Lecz Thomson nie był przez tę chwilę bezczynny; jednym susem przeskoczył ławkę i znalazł się pod ścianą, tak, że plecy miał zabezpieczone od ataku.

Domniemany Murzyn, był w istocie detektywem Thomsonem. W przebraniu udał się do knajpy opryszków, nie tylko aby wydobyć z Maksa zeznania, ale aby zarazem się dowiedzieć o tym, który stał za mordercą, który go najął.

Byłoby mu się udało, ale w ostatniej chwili musiał Maks otrzymać ostrzeżenie od swego wspólnika. Thomson nie miał innej broni przy sobie, oprócz zwykłego węża gumowego.

Pewnym był swego przebrania, że go nikt nie pozna. Któż był tym wspólnikiem czerwonego Maksa, który się zdawał wszystko wiedzieć?

Detektyw nie miał czasu obecnie nad tem się rozmyślać, gdyż musiał bronić swego życia.

Był otoczony ze wszystkich stron.

Na froncie znajdował się olbrzym, trzymający w ręce list, który przed chwilą otrzymał:

— W sam czas — krzyczał — nadeszło ostrzeżenie. Nie wypuście go żywym. Sto funtów dostanie ten, kto go zabije!

Z wielkim hałasem rzucili się na Thomsona.

On czuł, że jest zgubionym. Zręczność ani odwaga nie mogły go ocalić przed tylu napastnikami.

Pewnej śmierci patrzył odważnie w oczy, zimna krew nie opuszczała go ani na sekundę.

Pierwszych, którzy natarli na niego, powstrzymał jego gumowy wąż. W tym jednak momencie przypadł do detektywa czerwony Maks, jak tygrys do bezbronnej ofiary. Już nóż błysnął w powietrzu, aby zatopić się w ciele detektywa.

Nie było ratunku przed morderczą klingą. Detektyw widział swoją zgubę.

Nagle od drzwi odezwał się głośny okrzyk obcego mężczyzny, który wszedł właśnie do szynku, słysząc wielką w nim wrzawę:

— Allons, lady Florence! Dalej! Bierz go.

ROZDZIAŁ V.

Niespodziewani zbawcy.

Thomson słyszał krzyk, ale nie wiedział, skąd pochodzi i co znaczy.

Cóż mógł się spodziewać od jakiejś tam lady Florence?

Nie wątpił ani na chwilę, że w ciągu paru minut padnie trupem. Już tylko na szerokość dłoni była oddalona ręka uzbrojona morderczym nożem i...

Wtem szybkim susem wpadł olbrzymi pies między nacierających opryszków, skoczył na Maksa i jednym szarpnięciem obalił na ziemię, wpijając równocześnie zęby w prawe ramię mordercy, tak, że klinga wyleciała z dłoni.

Na chwilę był detektyw uratowany.

Maks wył formalnie z bólu.

Musiał jednak bez ruchu leżeć na ziemi, gdyż pies położył mu na piersiach swe ciężkie łapy i pokazywał błyszczące kły.

Jeden z rzezimieszków krzyknął:

— Zabić bestyę!

Chciał się rzucić na psa z nożem, ale ten był czujny. Szybkiem ukąszeniem zabezpieczył się od leżącego na ziemi Maksa i skoczywszy raptownie na drugiego napastnika przewrócił go na ziemię.

Znowu rozejrzał się wyczekująco.

Kłami pogryzł opryszka, którego przycisnął do ziemi swemi łapami i rozglądał się mądremi oczami, czy mu nie grozi jakie nowe niebezpieczeństwo.

Thomson pozbył się swoich napastników. Otrzymał pomoc w najwyższem niebezpieczeństwie i to pomoc, na jaką zupełnie nie liczył.

Pies był jego zbawcą, pies, jakiego Thomson w życiu jeszcze nie widział.

Teraz chciał się rzucić na psa trzeci napastnik.

Wtedy odezwał się głos od drzwi:

— Zostaw go! Jak psa ruszysz, to ci gardło przegryzie. Ręce do góry, albo strzelam.

Przerażeni cofnęli się.

Na ziemi leżał bezwładny olbrzym, któremu pies pogryzł w okropny sposób szyję, gdy zobaczył drugiego czyhającego napastnika, a obecnie kłami groził jego gardłu, skoro spostrzegł innego mężczyznę mającego ochotę rzucić się na niego.

Z tyłu zagrażał im obcy człowiek z rewolwerem. Thomsona nie można było też lekceważyć.

Detektyw czując się wolniejszym, mógł użyć swojej gwizdawki, aby zaalarmować z ulicy policyantów.

Ostre sygnały gwizdkowe rozległy się w cichą noc.

Niejeden z gości pod „Ślepą kurą“ byłby chętnie się ulotnił, gdyby tylko mógł; ale mężczyzna, stojący z rewolwerem w drzwiach, którego mowa zdradzała obcokrajowca, trzymał ich wszystkich w szachu.

Kilka minut upłynęło, w ciągu których goście zgromadzili się koło gospodarza za szynkwasem.

Nadbiegli pierwsi policyanci.

Wkrótce związano wszystkich drabów.

Pies jednak nie usunął się od swojej ofiary; dopiero, jak go przywołał obcy, puścił wolno rzezimeszka.

Ten z przerażenia nie mógł podnieść się ze ziemi, pot spływał mu po twarzy; pozwolił sobie założyć obrączki na ręce, zarówno jak i czerwony Maks, powracający powoli do przytomności. Odetchnął swobodniej, gdyż uważał więzienie, jakie mu groziło, za lepsze od niebezpiecznej blizkości białych ostrych kłów strasznego psa.

Thomson podszedł do obcego mężczyzny i podając mu rękę, rzekł:

— Jakże mam panu dziękować? Ocaliłeś mi pan życie!

— Ja nie! Lady Florence! Niebym sam nie mógł dla pana uczynić. Kulą mógłbym trafić zarówno przypadkowo pana jak i przeciwnika. Pomódz więc nie byłem w stanie. Lecz lady Florence jest prędszą od kuli i pewniejszą.

Thomson wstrząsnął głową:

— Mówi pan lady Florence? Któż to jest?

— Tu oto!

I śmiejąc się, pokazał na psa, który stał obok niego i patrzył swemi rozumnemi ślepiami na pana, jakby go rozumiał.

— Pies?

Thomson przypatrywał mu się z powątpiewaniem.

— Widziałem, jak ubezwładnił czerwonego Maksa i jak również szybko pozbył się drugiego napastnika i z pewnością dałby sobie radę i z trzecim.

Obcy odpowiedział:

— Tak! Ten pies nazywa się lady Florence. Gdyby był o sekundę spóźnił się w ubezwładnieniu czerwonego draba, nie rozmawialibyśmy więcej ze sobą.

— Nadzwyczajny pies! Mądre, inteligentne zwierzę!

— Rzeczywiście. Wie pan może, że należy on do Szerloka Holmesa. Lady Florence jest godna swego właściciela! Jeśli Holmes ma co załatwić albo wyjechać, a mnie nie potrzebuje, to zostawia mi lady Florence. A pies jest równie sprytny, jak słynny detektyw!

— Aa! To pan jest uczniem a zarazem pomocnikiem Szerloka, Harry Taksonem — zapytał mr. Thomson — a lady Florence psem, o którym takie dziwy opowiadają?

— Za dużo nie powiedziano. Pies nie potrafi wprawdzie myśleć, ale instynkt u lady Florence jest tak silnie rozwinięty, jak z pewnością u żadnego drugiego zwierzęcia na świecie!

— Mogę więc mówić o szczęściu. Jestem właśnie na tropie śmiałego i bezczelnego zbrodniarza; szukam nieprzyjaciela, z jakim dotychczas jeszcze się nigdy nie spotkałem.

— Cóż się to zdarzyło?

Thomson opowiedział dokładnie, jak przyszedł do przekonania, że pod przypuszczalnem samobójstwem dyrektora banku, Jonatana Fielda, ukrywa się zbrodnia i jak wpadł na ślad, że w mordzie uczestniczył czerwony Maks.

Domyślając się, że on zabił Fielda z namowy drugiego, chciał go wybadać. Opowiedział dalej co zaszło w szynku, aż do ich nadejścia i pomocy przez nich mu udzielonej.

Thomson zakończył opowiadanie:

— Może pan z tego wnosić, co za niebezpieczny ptaszek musi być ze zbrodniarza. Zdaje się wszystko przewidywać, gdyż bezwarunkowo nie mógł wiedzieć, że będę przebrany. Jak prowadzi sprytnie a zarazem bezwzględnie swoje działanie, o tem przekona się pan z listu, jaki dostał Maks przez posłańca, chłopca kilkunastoletniego.

Podał list Harremu, który detektyw znalazł w lewej ręce omdlałego.

Był pisany na maszynie:

„Strzeż się przed każdym obcym. Jakby miał czarne, wełniste włosy, to są fałszywe i możesz mu je ściągnąć z głowy, jak łupinę z orzecha. W rzeczywistości jest to groźny i obawiany detektyw Thomson, który chce cię podejść. Musi umrzeć. Jak się uda, dostaniesz pięć tysięcy. Spotkamy się jutro wieczór w znanem miejscu.“

Nie było żadnego nazwiska, żadnego podpisu, nawet znaku.

Harry przeczytał list i oddał go Thomsonowi.

Detektyw opowiadał dalej:

— Jedynym, który widział nieznanego nam wroga i zna mordercę jest czerwony Maks. On mógłby nam coś opowiedzieć, ale jest głuchy jak ryba i milczący jak ściany pokoju, w którym spełniono zbrodnię. Czy sądzi pan, że pies, lady Florence, znajdzie rozwikłanie zagadki, która jest teraz bardziej zawiłą, niż przedtem była. Tylko czerwony Maks, od którego wydobyłem już przyznanie do mordu, mógłby nam wskazać miejsce, gdzieby należało szukać nieznanego nieprzyjaciela.

Zrobi to lady Florence?

Harry Takson nachylił się do psa i jakby ten potrafił go zrozumieć i mógł odpowiedzieć, zapytał:

— Jak myślisz, lady Florence? Sądzę, że powinniśmy przyjąć wyzwanie. Wynajdziemy tego przebiegłego zbrodniarza, który umiał się tak skryć! Nieprawda?

Jakby na potwierdzenie słów Harrego, pies zaszczekał wesoło.

Harry Takson odpowiedział:

— Już dobrze! Naprzód musimy się zadowolić wynalezieniem chłopaka, który przyniósł list.

Dał psu list do obwąchania.

Następnie wziął psa na smycz i powiedział:

— Allons, szukaj, szukaj, lady Florence!

Pies posłuchał wezwania, węsząc z razu ziemię dokoła.

Harry z trudnością mógł nadążyć psu, który rwał się w obranym przez siebie kierunku, ciągle naprzód.

Lady Florence wyprowadziła ich wreszcie na ciemną ulicę, którą oświetlały nieliczne lampy gazowe.

Idąc, prowadzili ze sobą rozmowę:

— Jeśli nieprzyjaciel znał tak dokładnie przebranie pana, musiał czuwać nad pańskimi krokami.

— Takie jest też moje zdanie — potwierdził detektyw. — Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego nabrał podejrzeń przeciw mnie. Publiczność wie o samobójstwie. W gazetach było także wyraźnie w tym duchu pisane. Pomimo tego zdaje się, że przejrzał moje zamiary. Musimy przeto uważać na to, że każdy nasz krok śledzi morderca, podczas gdy my sami nie wiemy, gdzie go szukać.

— W każdym razie musi to być człowiek, który wszędzie ma dostęp i o wszystkiem jest uwiadomiony — zauważył Takson.

Na chwilę przerwali pogadankę, pies zaś biegł

ciągle ze spuszczonym nosem ku ziemi za znalezionym śladem, który prowadził go w ciasną ulicę.

Takson odezwał się po chwili milczenia:

— O ile nauczyłem się od mistrza, to w takich wypadkach odgrywa najważniejszą rolę testament. Czy wiadomo jest panu co bliższego w tej sprawie?

— Nie — zapewnił Thomson. — Ale o ile mnie zapewnił nadradca policyi Brown, żona jego należy do głównych dziedziców, jako najbliższa krewna zamordowanego. Chcąc wyciągnąć wniosek konsekwentny, to naszym nieprzyjacielem byłaby pani Brown. Śmiesznem wydaje mi się jednak przypuścić coś podobnego!

Harry Takson wstrząsnął głową.

— Nie ma nic w tem śmiesznego, a — według Ben Akiby — wszystko było już na świecie i wszystko jest możliwe!

— Pan nie zna pani Brown? — spytał Harrego Thomson.

— Jest ładna?

— Więcej! Skończona piękność.

— Tem gorzej - zauważył Harry, który w nieobecności mistrza udawał nieomylną powagę i starał się go naśladować w wypowiadaniu wniosków, choć nie zawsze były prawdziwe i słuszne.

— Nie można nawet myśleć czegoś podobnego.

— Przypuśćmy jednak, że dowiedziała się od męża coś, o czem nikt inny nie wie i my także.

— Nie sądzi pan chyba, że naszym wrogiem nieznajomym jest sam nadradca mr. Brown?

— Swego zdania o nim nie wyrażam tak, jak nie powiedziałem jeszcze nic stanowczego co do pani Brown. Jednakże byłoby szczególnem, gdyby żona Browna była jedyną spadkobierczynią zamordowanego!

— To prawda — odparł Thomson. — Ponieważ morderstwo było tak świetnie upozorowane samobójstwem, absolutnie jest wykluczonem, aby spełniono go dla rabunku, lub z zemsty. Morderca musiał spodziewać się korzyści z innej strony.

Coraz jest widoczniejszym zamiar, że morderca liczył na dziedzictwo po dyrektorze banku.

— Mnie wydaje się prawie pewnem, że jest to damska robota, wyciągać kasztany z pieca przez kogo innego. Czerwony Maks poparzył sobie palce za kogo innego.

Rozmowa urwała się, gdyż nie można było utrzymać psa.

Targał smyczą na wszystkie strony, jak to zwykł był czynić, gdy był blizko celu.

Dlatego puścił go Harry ze smyczy, a on pobiegł jak strzała, zachęcany przez pana:

— Chwytaj, lady Florence! chwytaj!

Bez hałasu pędził pies naprzód, skręcił na rogu ulicy, skąd prowadziła aleja do małego dworku

Za nim pobiegli Harry Takson i Thomson.

Kiedy przybyli na miejsce nie zobaczyli nikogo, nawet cienia.

Lady Florence pomyliła się?

Na to pytanie otrzymali zaraz odpowiedź.

Z szybkością i kocią zręcznością wyskoczyła lady Florence na nizkie drzewo i zginęła w gałęziach. Wkrótce potem rozległo się szczekanie psa i krzyk ludzki.

Lady Florence wyszukała chłopaka na drzewie.

Wyrostek nie czując się bezpiecznym na drzewie wobec psa, zeskoczył z drzewa a za nim pies; krótki rozkaz, a lady Florence łasiła się koło nóg Taksona tak, jakby ją wyśledzony chłopak zupełnie nie obchodził.

Thomson przytrzymał chłopca i rozpoznał w nim zaraz tego, który przyniósł Maksowi list pod „Ślepą kurę“.

Chłopak nie zapierał się i opowiedział, co mu było wiadomem:

— Tak. Zaniosłem list. Ale przedtem nie widziałem tego pana nigdy. Spotkałem go tu w alei; spytał mnie naprzód, czy znam szynk pod „Ślepą kurą“, co ja potwierdziłem. Dał mi wtedy list, opisując dokładnie czerwonego Maksa. Jemu go miałem tylko oddać. Dał mi za to szylinga.

— Jak wyglądał ten pan?

— Tego nie potrafię powiedzieć, stał bowiem w cieniu. Nie było można nic widzieć, jak tylko błyszczące oczy i ciemną brodę.

Opowiadanie chłopca miało cechę wiarygodności. Ponieważ nie mógł dokładnie oznaczyć miejsca, gdzie spotkał się z owym obcym mężczyzną przeto nie można było lady Florence wskazać jego tropu.

Na tą noc musieli zaprzestać dalszych poszukiwań.

Kiedy powracali już do miasta, rzekł Harry do Thomsona:

— Jutro zaprowadzi mnie pan do pokoju zamordowanego. Tam pokaże dopiero lady Florence, co potrafi.

Detektyw przyrzekł.

— Może przyjdzie pan — odpowiedział — koło pierwszej w południe na Kweenstreet. Wcześniej nie mogę przybyć, gdyż chciałbym być obecny przy otwarciu testamentu, które jutro ma się odbyć u notaryusza.

— Już jutro?

— Tak!

— W takim razie wkrótce już możemy przekonać się, czy nasze podejrzenia są słuszne i czy je potwierdzi lady Florence.

ROZDZIAŁ VI.

Domniemania i przypuszczenia.

Mała willa nadradcy Harrego Browna leżała w cichej ulicy, w dzielnicy St. James.

W rannych godzinach była ta część prawie wymarłą.

W ogrodzie podobnym do parku, zawsze ciemnym z powodu cienistych starych drzew, panowała głęboka cisza, przerywana od czasu do czasu szumem konarów, poruszanych wiatrem.

Na oszklonej werandzie nakrywała służąca do śniadania.

Na końcu ogrodu, dotykającym sąsiednich will, zaszeleściały krzaki.

Mimo wczesnej godziny przemykała tam jasna postać, w lekkiej rannej sukni. Spieszyła się, jakby miała przybyć na oznaczoną godzinę. Oglądała się bojaźliwie za siebie, czy kto ją nie śledzi i nie podpatruje.

Całe jej zachowanie zdradzało, że obawiała się jakiegoś prześladowcy.

Przy małej grocie, którą wybudowano w zacisznym kąciku ogrodu, gdzie można się było czuć bezpiecznym przed oczami ciekawych, zatrzymała się kobieta, ciężko oddychając ze zmęczenia.

Przycisnęła rękę do bijącego serca.

— Mary!

Jakiś głos szeptem wymówił jej imię.

Oczy kobiety pożądliwie szukały dokoła właściciela głosu.

Z krzaków wysunęła się postać okazałego, mężczyzny.

Ciemna broda okalała jego oblicze, zdradzające energię.

Natychmiast go poznała.

— Jak się masz drogi? Czy nie widział cię kto?

— Nie. Przygotowanaś na tę noc?

— Tak. Nie może być inaczej. Muszę ci być posłuszną we wszystkiem, czego odemnie zażądasz.

Uśmiechnął się czule.

— Czy to tak źle?

— Nie. Wiesz dobrze, że cię kocham i wszystko, wszystko dla ciebie uczynię, dla twej miłości.

Widocznem było, jak drżała, jakby od zimna.

— Ty wiesz, co poświęciłam dla ciebie — dodała.

— Wiem!

Objął jej smukłą postać o kształtach boskiej Afrodyty ramionami i przycisnął namiętnie do siebie.

— Wiem, kochanie! Nie troszcz się. Tej nocy odzyskamy wolność. Resztę zostawimy za sobą. Żaden człowiek nie znajdzie nas tam, gdzie stworzyłem dla nas gniazdko. Tem wynagrodzę cię za wszystko i ofiaruję ci całą moją miłość.

— O mój najdroższy!

Przycisnęła się do niego i odwzajemniała jego całusy gorącą namiętnością.

Naraz oboje odskoczyli od siebie.

Jakiś głos dochodził ich z odległości i zawołał:

— Mary!

Położyła mu rękę na ustach i wyszeptała:

— On jest! Cicho!

— Mary!

Głos przybliżał się.

Kobieta nerwowo przycisnęła się do ukochanego, a następnie w obawie, aby go nie odkryto, rzekła:

— Szuka mnie. Muszę iść do niego, aby cię nie widział. Stój tu spokojnie!

— Nie zapomnij! W nocy o pierwszej.

— Tak!

Głos zawołał po raz trzeci:

— Mary!

Teraz dopiero odpowiedziłaa głośno:

— Czy to ty, Harry?

Wyszła z groty, mężczyzna zaś, schował się z ostrożnością i bez hałasu w otaczającej grotę gęstwinie.

Wyszła na ścieżkę ogrodową, wysypaną żwirem i wnet zobaczyła swego męża. Był nim nadradca policyi Harry Brown.

— Gdzie byłaś? — zapytał, patrząc jej w twarz i chcąc z niej wyczytać odpowiedź.

— Zrobiłam małą przechadzkę. Piękny dzień zachęcił mnie do tego.

Czoło jego zmarszczyło się.

— Czy mówiłaś z kim? Zdawało mi się, że słyszałem więcej głosów.

— Ja?

Zaśmiała się; w śmiechu jednak wyczuć można było nieszczery ton.

— Z kimże miałam rozmawiać? W naszym ogrodzie niema przecież żadnych faunów, ani czarodziejów.

Przez chwilę patrzył na nią badawczo.

Potem rzekł spokojnie:

— Pomyliłem się prawdopodobnie!

— Najpewniej! Nuciłam sobie, jak to w moim zwyczaju i to wziąłeś za obcy głos.

— Możliwe. Chciałem ci się zapytać, czy będziesz obecną przy otwarciu testamentu u notaryusza, czy też mam cię zastąpić. Dziś jest termin.

— Wiem. Sama pójdę.

— Ty wiesz, że nie lubię wpływać na ciebie. Czy jednak jest konieczne, żebyś tam musiała iść?

— Naturalnie! Przecież jako najbliższa krewna Fielda, jestem jego dziedziczką.

— Czy zmarły miał jakich krewnych lub przyjacieli, którymby mógł zapisać majątek, oprócz ciebie?

Potrząsła przecząco głową. Po głębszym namyśle dodała:

— Zresztą może... jest jeszcze Robert Kalston, kuzyn zmarłego.

Nadradca stanął, jakby rażony piorunem; podniósł głowę i patrzył zdziwiony i przerażony na swoją żonę.

— Kalston? Co mówisz? O ile się nie mylę, nie było przecież dwu większych wrogów, jak Jonatan Field i Bob Kalston!

— Ale on taksamo spokrewniony z Fieldem, jak i ja.

— Wkońcu mi to obojętne. Więc będziesz obecną przy otwarciu testamentu?

— Z pewnością, Cieszę się, że będę miała tyle pieniędzy odrazu!

Na to odpowiedział mr. Brown pouczającym tonem:

— Zapewniam cię, że nie mam żadnego w tem interesu, aby cię zastępować u notaryusza. Nie powinnaś jednak objawiać tak głośno swej radości, że może co odziedziczysz. Po prawdzie wolałbym z rozmaitych powodów, aby cię Field pominął zupełnie w testamencie.

— Dlaczego? Dobrze spotrzebuję pieniądze, nie bój się!

Nadradca pokiwał głową; wkońcu przemówił:

— Nie mówmy o tem. Mam teraz wyczerpującą mnie służbę. O pierwszej przyjdę na obiad. Wtedy mi opowiesz cały przebieg.

Udali się oboje na werandę, gdzie oczekiwało na nich przygotowane śniadanie.

* * *

Natychmiast po ogłoszeniu testamentu przyszedł Thomson do prokuratora Freda North, który miał w swoich rękach akta wypadku Jonatana Fielda.

Prokurator cenił wysoko spryt detektywa i ufał mu zupełnie. Często nawet zasięgał u niego porady.

Publiczność nie wiedziała dotąd o tem, że władze poszukują zbrodniarza, mordercę Fielda. Świat przeszedł już nad „samobójstwem“ dyrektora banku do porządku dziennego.

Skoro prokurator zobaczył detektywa, który zamknął za sobą drzwi prowadzące do biura, odłożył wszelką robotę na bok i wypytywał go o przebieg otwarcia testamentu.

Thomson zajął powoli miejsce.

— Dość szczególne — rozpoczął. — Gdybyśmy trzymali się tego, że morderca miał na oku korzyść przez odziedziczenie majątku zmarłego, to wybór nie był ciężki, kto jest sprawcą morderstwa.

— Widzę, że pan zaczyna mieć wątpliwości.

— Nie — była odpowiedź detektywa. — Nic się nie zmieni to w dotychczasowym stanie.

— Cóż zatem? — zapytał prokurator, zaczynając się niecierpliwić.

— Cały majątek dyrektora banku przypada w równych częściach tylko dwu dziedzicom. Pani Mary Brown, żonie nadradcy policyi...

Ponieważ Thomson zrobił pauzę, nalegał Fred North:

— Któż jest drugim?

Detektyw nie odpowiedział zaraz na to pytanie.

— Panią Mary Brown — rzekł — nie podejrzywa pan prokurator o morderstwo?

— Naturalnie, że nie — powiedział stanowczo prokurator.

— Drugim dziedzicem jest malarz, Robert Kalston.

— Któż to za jeden?

— Wywiedziałem się już trochę o nim; jest

wprawdzie spokrewniony z Jonatanem Fieldem, ale w ostatnich czterech latach nie utrzymywali ze sobą stosunków. Nadradca Brown, który znał obu, powiedział mi na moje pytanie, że między nimi panowała wielka nieprzyjaźń. To potwierdzono mi także z innej strony.

Prokurator skinął tylko głową i powiedział:

— Nie bardzo pobłądzimy, jeśli weźmiemy pod swoją obserwacyę tego Kalstona. Nie rozumię dlaczego uczynił go dyrektor swoim dziedzicem?

— O tem również dowiedziałem się parę szczegółów — odparł Thomson —. nieprzyjaźń trwa między nimi od lat czterech. Testament zaś sporządził Field przed pięciu laty.

— Ach — zawołał prokurator. — Teraz rozumię dopiero związek. Przy morderstwie zniszczono zapewne dodatkowy testament...

— Tak nie jest! Wielu świadków mówiło mi, że dyrektor nosił się z zamiarami sporządzenia nowego testamentu, do tego jednak nie doszło. Tylko z powodu zamierzonego nowego sporządzenia ostatniej woli odważono się spełnić tak wyrafinowane morderstwo. Pomimo jednak tak obciążających poszlak nie można nic udowodnić owemu Kalstonowi, gdy jedyny świadek, który brał w całym wypadku udział, czerwony Maks zginął. Policyant zastrzelił go w obronie własnego życia, kiedy się porwał na niego.

— Będzie nam brakowało jego świadectwa! W jakich stosunkach znajduje się Kalston?

— Jest kawalerem i ma mieć długi.

— Jak wielki majątek otrzyma ze spadku?

— Około czterysta tysięcy funtów szterlingów.

Prokurator namyślał się, wreszcie zapytał:

— Co pan zamierza czynić dalej?

— Najlepiej byłoby zyskać na czasie. Czy nie możnaby wstrzymać wypłaty spadku, pod pozorem, że zachodzą tu jakieś wątpliwości co do prawdziwości testamentu? Może da się znaleźć jaki powód? Wtedy pokaże się, czy Kalston nie będzie chciał pierwszy podjąć spadku.

— Tak byłoby dobrze! Gdzie są złożone pieniądze? W którym banku?

— W banku londyńskim.

— Zaraz tam zatelefonuję.

Prokurator kazał się połączyć z angielskim bankiem.

Thomson słyszał, jak oznajmiał bankowi, aby nie wypłacał spadku Fielda, gdyż sąd musi testament dla ważnych powodów zakwestyonować.

Prokurator słuchał odpowiedzi. Thomson słyszał, jak North mówił do telefonu:

— Niemożliwe! Przed godziną dopiero przecież otwarto testament.

Na końcu rozmowy zauważył prokurator:

— To ciekawe! Spieszyło im się bardzo! Dowidzenia!

Oddzwonił i zwrócił się do Thomsona:

— Zgadnij pan, co mi zakomunikowano?

Z kilku słów, które powiedział North, mógł detektyw wykombinować całość, odpowiedział więc:

— Nie ździwiłoby mnie, gdyby Kalston podjął już pieniądze!

— Tak! Trafnie pan odgadł!

Thomson uśmiechnął się:

— Pośpiech wydaje mi się podejrzany.

— Jednak to niczego nie dowodzi. Pomyśl pan, Mary Brown także podjęła pieniądze!

— Oboje?

— Tak. Zastanówmy się teraz, u kogo wydaje się ten pośpiech dziwniejszym.

Detektyw namyślał się kilka chwil, wkońcu zakonkludował:

— Mrs. Brown zrobiła to z kobiecej próżności i niecierpliwości, aby mieć jak najprędzej dużo pieniędzy. Kalston potrzebował pieniędzy.

— Słusznie — przyznał prokurator. — Musimy zwrócić naszą uwagę na owego Kalstona.

— Wydam zaraz polecenie, aby go pilnie strzeżono. Nie ździwi mnie zupełnie, jeśli malarz zechce się ulotnić z Londynu.

— Temu trzeba będzie przeszkodzić, o ileby chciał rzeczywiście to uczynić — rzekł prokurator.

— Dobrze! Zaraz polecę najzaufańszym moim ludziom dozór nad malarzem. Ja sam mam schadzkę z Harry Taksonem, który chce puścić psa policyjnego, lady Florence, na ślady mordercy. Opowiadałem panu już moją nocną przygodę.

— Owszem! Pies dzielnie się spisał. Przyznaję, że uratował panu życie. W to jednak nie uwierzę, aby pies wytropił i złapał mordercę.

Thomsom wzruszył ramionami.

— W każdym razie można spróbować.

— Ostatecznie można. Prawdopodobnie jednak będziemy mieli mordercę pod kluczem, a pies będzie się jeszcze wałęsał, kto wie gdzie. Przy sposobności opowie mi pan o wyniku. Główna rzecz, nie spuszczać z oka Kalstona.

ROZDZIAŁ VII.

Harry Takson puszcza lady Florence.

Kiedy Thomson przyszedł na Kweenstreet poznał natychmiast Taksona. Ten prowadził na smyczy niepozornego, schudzonego psa. Lady Florence podwinęła ogon i ze spuszczoną głową szła śpiąco za Harrym.

Skoro Thomson zobaczył ją za dnia, wydało się mu niemożliwem, aby ten pies mógł ubezwładnić olbrzymiego Maksa i powalić drugiego jeszcze przeciwnika w nocnej awanturze.

Powiedział swoje spostrzeżenia Harremu, na co ów odparł z uśmiechem:

— Pan nie zna jeszcze lady Florence! Pies wyda się panu innym, skoro tylko dostanie podnietę. Z lady jest taksamo jak z mistrzem. Oboje potrzebują pobudki i wyglądają apatyczni i zmęczeni, póki nie są na śladzie przestępcy.

Detektyw nie pozbył się swoich wątpliwości. Harry Takson umiał odgadywać myśli ludzkie, nauczył się bowiem wiele od swego mistrza Holmesa przez kilkuletnie z nim pożycie i wspólną pracę. Rzekł tedy do Thomsona:

— Widzę, że mi pan nie wierzy. Sam się pan przekona, czy mówię nieprawdę. Cóż nowego słychać?

Zapytany opowiedział o przebiegu otwarcia testamentu, swojej rozmowie z prokuratorem, dalej o podjęciu spadku przez oboje dziedziców.

Harry Takson nie przerwał opowiadania żadnem pytaniem. Dopiero kiedy detektyw skończył i zapytał o jego zdanie, odpowiedział uczeń Holmesa:

— Nie uważam za męzki sposób postępowania przy takich przedsięwzięciach wyręczać się drugimi. Mnie wydaje się, że to właśnie metoda kobiet, dać się zastępować w takich wypadkach.

— Nie twierdzi pan chyba, że pani Brown spowodowała śmierć bankiera?

— Dlaczego nie? Dziwniejsze przygody miałem już w życiu.

— Chłopak przedstawił nam obcego, jako mężczyznę z czarną brodką? — podniósł detektyw.

— To prawda — odparł Takson. — Jeśli jednak była ubraną za mężczyznę i miała przyprawianą brodę, wszystko jest wyjaśnione. A jeszcze: Nie zapominaj pan, że list do czerwonego Maksa był pisany na maszynie. Czy nie było to umyślnie zrobione, dlatego, że kobiece pismo da się zawsze rozpoznać? Kobieta może zmienić swe pismo, pomimo to zdradzi ono zawsze rękę kobiecą. Żadna niewiasta nie potrafi nadać pismu charakteru męskiego, tylko maszynowe pismo jest bez charakteru.

— W to nie mogę uwierzyć!

— Spodziewam się, że lady Florence wykaże nam, kto ma słusznie z nas obu.

Weszli do mieszkania Fielda, klucz bowiem miał Thomson u siebie w przechowaniu.

Harry Takson dał mu kilka wskazówek, które uważał za niezbędne, aby lady Florence natrafiła na ślad.

— Dywan, na którym znajduje się krew zabitego, musi leżeć dokładnie na dawnem miejscu — rzekł.

Thomson przyniósł dywan z pokoju, gdzie był schowany i położył na jasnym prostokącie na podłodze.

— Przyniósł pan rewolwer, znaleziony przy zabitym?

— Tak. Tu go mam!

— Dobrze. Połóż go pan tam, gdzie był przy telefonie.

Detektyw zrobił, co mu Harry powiedział.

— Ma pan jaką część ubrania zamordowanego?

— Mam krawatkę, jest na niej nawet trochę krwi.

— Połóż ją pan tam, gdzie leżał nieboszczyk.

Gdy detektyw wszystko uczynił, jak mu polecił Harry, wprowadził ten lady Florence do pokoju i dał jej dywan do obwąchania, zachęcając ją słowami:

— Szukaj, szukaj, lady Florence. Gdzie jest ten człowiek? Chwyć go! Dobrze, dobrze!

Lady Florence stała się niespokojną.

Harry Takson wytłómaczył detektywowi:

— Ten przypadek jest ciężki, bo na miejscu zbrodni było dwu ludzi. Gdy przypadkiem natrafi pies na trop Maksa, będziemy wtedy mieć mało nadziei, w pomyślny rezultat naszych poszukiwań.

— Gdzie był ukryty czerwony Maks według pańskiego badania?

— Tu za firanką półek na książki.

— Nie możemy puścić tam psa.

Następnie poprowadził psa do progu drzwi, dał mu go powąchać, przyczem gorliwie zachęcał go:

— Allons! Szukaj! Chwytaj mężczyznę!

Wkońcu przyprowadził lady Florence do telefonu.

— Tu jest cała nasza nadzieja; czerwony Maks bowiem sam nie telefonował i nie strzelał, tylko nasz nieznajomy.

Harry Takson podsunął psu kolbę rewolweru pod nos.

Wtedy Thomson zauważył, jak pies zmienił się w jednej chwili. Zadarł ogon i stał bez ruchu, jak ulany ze spiżu, starając się wciągnąć w siebie woń sprawcy.

Wtedy Harry puścił go ze smyczy i rzekł energicznie:

— Teraz szukaj lady Florence!

Pies wybiegł węsząc po podłodze; raz głowę podnosił, to znowu ją opuszczał, aż zwrócił się do drzwi, prowadzących do mieszkania.

Harry Takson pobiegł wraz z Thomsonem za psem.

— Zaraz będziemy wiedzieli — mówił do detektywa — czy jest na właściwym śladzie. Jeśli zaszczeka przy szafce, to trafił na ślady czerwonego Maksa, jeśli zaś przebiegnie koło szafki nie zwracając na nią uwagi, to znaczy, że znalazł właściwy trop.

Pies gonił naokoło dywanu, obiegł kilka razy pokój, następnie zbliżył się do biurka i obwąchawszy go, drapał się do drzwi wiodących na korytarz.

— Jest na dobrym tropie — wykrzyknął uradowany Takson.

— Nie zmylił się?

— Nie.

— Co pan teraz zrobi?

— Puszczę wolno lady Florence.

— Cóż będzie następnie?

— Pies będzie tak długo szukał, dopóki nie znajdzie właściwej osoby. Wie pan o tem, że każda ręka ma inną woń. My ludzie, prawie że nie możemy tego rozpoznać, ale dla psa jest to najwyraźniejszym śladem, ma bowiem węch doskonały. Jak go znajdzie, nie ustąpi lady Florence ani na chwilę od wyszukanego, choćby ten nawet chciał ją siłą odpędzić.

— Jak to długo potrwa?

— Dopóki ja ją nie znajdę. Albo dopóki mnie w bliskości nie poczuje i nie sprowadzi.

Teraz otworzył Harry drzwi. Przytrzymał przez chwilę psa za obrożę i powiedział, akcentując każde słowo:

— Naprzód lady Florence! Szukaj go i nie odstępuj ani na krok!

Uderzył go lekko, a pies zbiegł schodami jak opętany. Kiedy Harry obrócił się, zauważył, że Thomson kiwa głową powątpiewająco, odezwał się więc do niego:

— Nie wierzy pan? Przekona się pan, że nie prędzej ujrzymy psa, dopóki nie znajdzie mordercę. Żeby miał zdechnąć z głodu, nie przyjmie od nikogo jedzenia.

— Brzmi jak bajka, opowiadanie pana.

— Teraz! żeby go pan raz widział przy robocie, toby pan musiał uwierzyć.

* * *

Było koło wieczora.

Na terasie, która prowadziła na ulicę nakrywała służąca do kolacyi.

Nadradca Brown przyszedł później jak zwykle z biura. Nie był w dobrym humorze; żona siedziała milcząca naprzeciw niego.

Na chwilę zapanowała cisza; słychać było tylko dźwięk talerzy.

Nagle zapytał nadradca żony:

— Mary, dzisiaj odziedziczyłaś wielką sumę pieniędzy. Czy podjęłaś ją?

Smarował sobie chleb masłem.

Mrs. Mary Brown pochyliła się nad stołem, aby mąż nie zauważył rumieńców, którymi pokryła się jej twarz.

— Po co? Mam czas jutro to uczynić!

— To zbyteczne! Możesz pieniądze zostawić w banku. Z pewnych powodów, byłoby to nawet lepiej.

— Dlaczego?

— Przypuśćmy, że władze mają jakieś podejrzenia, że samobójstwo Fielda jest sfingowane. Nie mówię, że tak jest. Gdyby tak jednak było, to samabyś się zdradziła swym pośpiechem.

Mary Brown podniosła się i chwyciwszy go za ramię, rzekła:

— Czemu mnie to mówisz? Czy przypuszczają rzeczywiście coś podobnego?

Nadradca milczał kilka sekund, jakby niezdecydowany, co ma powiedzieć i czy ma zdradzić co powiedział; wkońcu odrzekł:

— Nie! Powiedziałem to przykładowo. Dlatego powinnaś pieniądze, jakie otrzymałaś, zostawić w banku.

— Mogę poczekać kilka tygodni.

Nastąpiło milczenie.

Nie mówiąc do siebie ani słowa jedli wieczerzę.

Mr. Brown czytał gazetę.

— Co cię zatrzymało tak długo w urzędzie?— spytała znowu żona.

Nie przestając czytać mruknął:

— Rozmowa z Thomsonem!

— On jest najlepszym twoim detektywem? Prawda?

— W samej rzeczy.

— Czy znowu dokazał czego ważnego?

— Nie. Tylko chce zrobić próbę z psem policyjnym.

— Z psem policyjnym? którym?

I podczas, gdy pytała o dalszy ciąg rozmowy, rzuciła wzrokiem na ulicę.

— Powiem ci kiedyindziej.

Powstała z krzesła i podeszła do balustrady werandy.

Przypatrzyła się na ulicę i zawołała:

— Doprawdy! Pies leży ciągle jeszcze przed bramą!

Nadradca odłożył gazetę i zapytał: Jaki pies?

— Tam na ulicy. Możesz go stąd widzieć. Już go zauważyłam od godziny. Leżał przed furtką ogrodową, jakby strzegł domu. Teraz jest jeszcze w tej samej pozycyi. Wygląda strasznie zbiedzony. Widzisz go?

Mr. Harry Brown wstał i rzucił wzrokiem we wskazanym przez żonę kierunku.

Zobaczył opuszczonego jakiegoś psa, który leżał na trotoarze, jakby stróżował koło domu. Oczy psa były zwrócone ku willi.

Nadradca wzruszył ramionami.

— Pewnie bezpański pies, który widocznie padł tu ze zmęczenia.

Psem była lady Florence!

ROZDZIAŁ VIII.

Niespodzianka.

Koło ósmej wieczorem przyszedł Thomson do Harrego. Pierwszem jego pytaniem było:

— Złapała lady Florence już mordercę?

— Nie! Nie da się tak prędko. Niema znowu potrzeby się spieszyć na łeb i szyję.

Na to odpowiedział Thomson:

— Przeciwnie! Idzie o pośpiech, gdyż jeszcze dziś w nocy spodziewam się ująć mordercę Jonatana Fielda.

— Pewnie Roberta Kalstona, o którym ciągle pan myśli?

— I którego dziś zaaresztuję.

— Stwierdzonem zostało, że między zamordowanym a Kalstonem panowała wielka nieprzyjaźń i obawiał się dlatego wydziedziczenia. Był w ciągłych kłopotach pieniężnych. Nie może podać, gdzie był krytycznego dnia o dziesiątej wieczorem, kiedy padł morderczy strzał. Miał spać w domu, ale nie może wykazać tego żadnymi świadkami.

— Czyś pan go przesłuchiwał?

— Tak. Ale jako świadka w wymyślonej sprawie, gdzie nawet nie przychodziło nazwisko Fielda.

— Czy to wszystko?

— Jonatan Field zaprosił na przyszły tydzień do siebie notaryusza, aby zrobić dodatkowy testament. Kalston byłby z pewnością wydziedziczony, tymczasem przez morderstwo stał się właśnie dziedzicem. Jak liczył na pieniądze, wskazuje pośpiech, z jakim je podjął.

Thomson na chwilę zamilkł, a Harry dodał:

— Pośpiech okazała także Mary Brown.

— Nie masz pan żadnego innego powodu do podejrzywania pani Brown, jak ten jeden, ja zaś na winę Kalstona przytoczyłem wiele okoliczności obciążających.

— Ma on maszynę do pisania? — zapytał w dalszym ciągu Harry.

— Nie, ale mógł ją wypożyczyć w jakimkolwiek biurze.

— Naturalnie — odparł Harry Takson. — Temby jednak skierował na siebie podejrzenie, gdyż możnaby zapytać wszystkie składy, które wypożyczają maszyny do pisania, a panicz siedziałby wtedy w klatce. Atoli jako mężczyzna, mógł zmienić pismo.

— Jeśli panu powiem jedną nowinę, to przyzna mi pan sam, że Kalston jest mordercą przez nas szukanym.

— Cóż to może być? — zapytał niedowierzająco Takson.

— Agenci donieśli mi, że Kalston spakował rzeczy i opuszcza dzisiaj w nocy Londyn?

— Na prawdę?

— Może pan iść ze mną i przekonać się na własne oczy!

— Dobrze! Pójdę z panem. Ale jeżeli Kalston jest rzeczywiście zabójcą Fielda, to znajdziemy go na kolei w towarzystwie lady Florence.

— Możliwe — rzekł Thomson. — Ja nie po-

siadam tego zaufania do zachwalanego przez pana psa.

Obaj przybyli przed dom malarza, gdzie Thomson postawił na straży jednego agenta. Luzując go, zapytał:

— Jest w domu?

— Owszem, jest.

— Zdarzyło się co ciekawego?

— Nie.

Harry nie zadowolił się temi pytaniami, ale zapytał się sam:

— Widział pan tu jakiego kręcącego się psa?

— Psa? — spytał zdziwiony agent. — Kilka ich się wałęsało.

— Żaden nie wszedł do domu? Jest to duży, szary brytan.

— Nie. Przynajmniej nie zauważyłem.

— Dziękuję.

Harry Takson był zdegustowany tym stanem rzeczy, toteż kiedy chodził tam i z powrotem z Thomsonem, nie dawał odpowiedzi na żadne jego pytanie.

Nagle przystanął i odezwał się do Thomsona.

— Niemożliwe! Lady Florence nigdy się jeszcze nie pomyliła. Jak psa tu nie ma, to znaczy, że Robert Kalston jest niewinny!

— Tak? Więc gdzież jest ten pański pies?

— Bądź pan przekonany, że pilnuje on mordercy. Sądzę, że znalazłbym go w pobliżu domu Mary Brown.

— Mówię panu, że to są brednie.

– Dobrze, zobaczymy!

Przechodzili się ciągle chodnikiem, albo stawali w cieniu, skąd mogli widzieć bramę domu, gdzie mieszkał Kalston.

Naraz usłyszeli zgrzyt klucza w bramie. Ukryli się natychmiast i śledzili, kto wyjdzie.

Z bramy wysunęła się smukła postać mężczyzny.

Kiedy światło lampy gazowej padło na jego twarz, szepnął Thomson do Harrego:

— To jest Robert Kalston.

Harry nic mu nie odpowiedział.

Thomson zaś dodał:

— Ponieważ niema lady Florence, więc za nim musimy iść.

Z upartością, wrodzoną Anglikom, rzekł Harry.

— Twierdzę, że Kalston nie jest szukanym przez nas mordercą.

— W każdym razie idzie w kierunku kolei.

* * *

Harry Takson i Thomson postępowali za idącym naprzód, który nie wiedział, że nad nim czuwa władza bezpieczeństwa publicznego.

Jak przewidział detektyw, tak się stało.

Robert Kalston szedł na kolej; nie kupował żadnego biletu przy kasie, widocznie miał go już przygotowany.

Thomson miał w kieszeni rozkaz aresztowania Roberta, wydany przez prokuratora, wrazie gdyby ten miał zamiar opuścić Londyn.

Już chciał zbliżyć się do Kalstona, zawahał się jednak na chwilę, zauważył bowiem, że Kalston szuka kogoś, lub na kogoś wygląda.

Chodził on nerwowo po poczekalni.

To nie uszło uwagi Harrego, który rzekł do Thomsona:

— Zdaje mi się, że będziemy mieli niespodziankę, domniemany morderca oczekuje widocznie na kogoś.

— Z pewnością na współwinnego — dorzucił detektyw.

Harry wzruszył tylko ramionami.

— Moim zdaniem współwinną — wtrącił.

Detektyw zaśmiał się z lekką ironią:

— Którą jest mrs. Mary Brown, strzeżona przez lady Florence.

— Tak! — wyrzekł rozzłoszczony Harry. —Na nią czeka.

Ich cierpliwość nie była wystawiona na długą próbę. Spostrzegli, jak Kalston naraz podniósł głowę, jak to zwykł czynić niejeden, gdy znajdzie tego, kogo poszukuje. Wzrok jego zwrócony był w jednym kierunku, w którym sam poszedł.

Harry z Thomsonem poszli za nim.

— Tej zawelonowanej damy wyczekiwał tak niecierpliwie.

Robert Kalston doszedł do niej i przywitał się z nią z wielką serdecznością. W ręce miała małą podróżną torebkę, którą jej zaraz odebrał.

Thomson szepnął do swego towarzysza:

— Zawsze się tak dzieje. Jeśli mężczyźni dadzą się unieść namiętności i nieobliczalnym czynom, to tkwi w tem zawsze jakaś kobieta. Nie ulega dla mnie już wątpliwości: Aby uciec z tą damą, stał się Robert Kalston mordercą.

Detektyw podszedł do rozmawiających.

Harry Takson wstrząsnął głową niedowierzająco.

— Gdzie jest lady Florence?

Dla niego było pewnikiem, że zbrodnię popełnił przebiegły człowiek, niezdolny jednak do gwał-

rownych kroków. Morderstwo wymyślił taki, który tak jak na szachownicy obliczył każdy ruch, sam nie mając odwagi wprowadzić zamiaru w czyn. Dlatego wziął sobie do pomocy czerwonego Maksa.

Takiem było zdanie Taksona: Tchórzliwy, zniewieściały człowiek, ale o zbrodniczych instynktach, obmyślił zabicie dyrektora Fielda. Najprawdopodobniej była to kobieta.

Harry wierzył coraz silniej, że Robert Kalston popadł w podejrzenie o zabójstwo bankiera przez dziwny zbieg okoliczności, a nie wątpił ani chwili, że winnego należało upatrywać w mrs. Mary Brown.

Był również święcie o tem przekonany, że lady Florence znajdzie w domu nadradcy.

Thomson przystąpił do rozmawiającej pary i rzekł do Kalstona:

— Panie Robercie Kalston! W imieniu prawa aresztuję pana.

Zdenerwowany obrócił się malarz.

— Kto pan jesteś? Co pan za kawały urządza?

— Jestem detektyw Thomson! Tu moja legitymacya.

— Za co mnie aresztują? O co jestem oskarżony?

— O zabójstwo Jonatana Fielda, którego spadek masz pan ze sobą w torbie.

— Waryactwo! — burknął Kalston.

Jego towarzyszka krzyknęła przeraźliwie i oboma rękami objęła szyję aresztowanego.

Thomson pokazał nakaz aresztowania.

— W pańskim interesie — rzekł — leży iść ze mną zaraz. Uniknie pan widowiska, gdyż w przeciwnym razie musiałbym pana skuć.

Robert Kalston nie myślał w tej chwili o sobie.

— Dobrze. Nie da się nic zmienić na razie. Idę z panem.

Podał rękę zawelonowanej damie i szepnął:

— Los sprzysiągł się przeciw nam. Jak skończy się ta komedya, ani gdzie się zobaczymy, nie wiem.

Lecz Thomson wmieszał się do rozmowy:

— Pani może iść, gdzie się jej podoba. Ale przedtem proszę się wylegitymować, kim pani jest.

— Ja? — zawołała przerażona.

— Tak.

— Nie powiem. Nie. Nigdy!

— W takim razie muszę panią również zaaresztować.

— Nie odważy się pan.

Zamiast odpowiedzi przywołał Thomson Harrego i rzekł do niego:

— Oddaję panu tę panią. Jest uwięzioną, dopóki nie wyjawi swego nazwiska.

— Straszne rzeczy! Niesłychane! — wyszeptała dama.

Harry usłuchał żądanie detektywa, gdyż w głębi serca pragnął szczerze, aby Thomson odniósł porażkę.

Był jej pewny, gdyż ufał lady Florence.

Następnie opuścili kolej: Thomson z Kalstonem, a Harry z zawelonowaną damą.

* * *

Było już rano.

Słońce rzucało swe jasne promienie do kancelaryi prokuratora Freda Northa. Siedział on przy biurku i przysłuchiwał się opowiadaniu detektywa Thomsona, który opowiadał zajścia ubiegłej nocy.

Gdy skończył, rzekł North:

— Całkiem słusznie pan zrobił. Skoro dama wzbraniała się powiedzieć swego nazwiska, należało ją uwięzić. Czy powiedziała je w areszcie?

— Nie.

— W takim razie będzie najlepiej, jeśli przesłuchamy naprzód zawelonowaną damę. Spodziewam się, że nakłonię ją tutaj do otwartości.

Podczas gdy prokurator robił sobie notatki, zatelefonował Thomson na strażnicę policyjną, aby przyprowadzono aresztowaną damę do prokuratora Northa.

Harry także się zjawił, wiedziony ciekawością, co za rezultat wydały dochodzenia detektywa:

Thomson zawołał odrazu:

Lady Florence powróciła już z polowania na mordercę?

— Nie.

— Szukał pan psa?

— Nie.

Ostatnie „nie“ wypowiedział Harry po krótkim namyśle; gdyby miał powiedzieć prawdę, toby musiał przyznać, że pierwsze swe kroki rano skierował właśnie ku willi, leżącej w St. James.

Spodziewał się znaleźć tam lady Florence, tymczasem nadzieja go zwiodła.

Czyżby się pomylił co do tego, że mrs. Mary Brown jest morderczynią?

Do tego jednak nie chciał się przyznać, że szukał psa napróżno.

— Spodziewa się pan go znaleźć? Byłaby wielka szkoda, gdyby się zgubiło tak mądre zwierzę.

— Zgubiła? Lady Florence? Nie zna pan zupełnie tego psa! Przekona się pan, że znajdziemy psa czuwającego nad prawdziwym mordercą Jonata Fielda.

— Pan ma manię na punkcie tego psa! — zawołał detektyw.

Prokurator był tego samego zdania.

Rozmowa przerwała się, gdyż dozorca więzienny przyprowadził zawelonowaną damę do pokoju prokuratora.

Na twarzy miała gęstą woalkę.

North podał jej krzesło i rzekł:

— Jeśli noc przepędziła pani nie bardzo przyjemnie, to sama pani jest temu winna. Gdyby pani powiedziała swoje nazwisko, bylibyśmy pani nie zatrzymywali.

Cichym głosem spytała:

— Czy rzeczywiście zamordowano Jonatana Fielda?

— Tak jest.

— W gazetach było, że popełnił samobójstwo.

— Aby uśpić czujność mordercy, rozpuszczono wiadomość o samobójstwie. Podstęp się udał.

— Za mordercę uchodzi Robert Kalston?

— Tak.

— Dlatego, że jest dziedzicem Fielda i podjął zaraz pieniądze? — pytała dalej dama z widocznem zdenerwowaniem.

— I dlatego, że chciał zaraz z niemi uciec — odpowiedział prokurator.

— Wobec tego również i mnie musicie o to samo oskarżyć. Ja też odziedziczyłam majątek zmarłego, podjęłam pieniądze i tej nocy chciałam wspólnie z Kalstonem wyjechać z Londynu — zawołała lady.

Odwiązała drżącymi palcami welonkę i podniosła ją do góry:

— Jestem mr. Mary Brown.

Wszyscy trzej stanęli, jak wryci.

Thomson szepnął Harremu:

— Mamy obaj słusznie! Oni działali na spółkę. Dwóch winnych mamy odrazu w ręku.

Prokurator pierwszy ochłonął ze ździwienia i zapytał:

— Dlaczego pani chciała wyjechać?

— Ponieważ kocham Kalstona i kochałam go przed pójściem za mąż za mr. Browna; do małżeństwa z nim mnie zmuszono!

Najwięcej zaniepokojony był Harry Takson.

A więc to była mr. Mary Brown?

Gdzież jest lady Florence?

Jeśli ci są winni, co stało się z psem?

O ile zaś są niewinni, gdzie jest morderca?

Harry Takson widział, że zagadka zamiast się rozwiązać, zaciemniała się coraz więcej.

Thomson wierzył w współwinę obu.

Prokurator nie wyjawił jeszcze swego sądu, tylko badał rzeczowo panią Brown.

Przedtem powiedział do Thomsona:

— Proszę mi zawołać mr. Harrego Browna!

Thomson wyszedł z kancelaryi prokuratora.

ROZDZIAŁ IX.

Co zrobiła lady Florence.

Była ciemna noc. Czarne chmury pokrywały niebo, ani jednej gwiazdy nie było widać na ciemnym firmamencie!

Na ulicy panowała grobowa cisza.

Przed furtką ogrodową małej willi w St. James leżał ciągle niepokaźny pies, lady Florence. Leżał skromny, głowę trzymał na przednich łapach. Tak cicho i spokojnie się zachowywał, jakby zasnął na swoim posterunku.

W ciszy nocnej rozległo się skrzypienie otwieranych drzwi.

Lady Florence podniosła głowę.

Ruszyła z miejsca i pobiegła w kierunku szelestu. Następnie stanęła skulona.

W ogrodzie poruszała się postać, zbliżająca się do furtki.

Była to jakaś dama, która niosła w ręce torebkę.

Przy furtce stanęła i patrzyła na willę, w której zdawało się, że wymarło wszelkie życie. Kiedy się upewniła, że jest bezpieczną, otworzyła cicho kluczem bramkę.

Nie zauważyła psa, który stał tuż przy ogrodzeniu. Kiedy otwarła furtkę, lady Florence przebiegła koło niej jak strzała.

Z cichym okrzykiem przerażenia popatrzyła dama za cieniem psa, który biegł żwirem, trzymając głowę przy ziemi.

— Zdaje się, że to jest pies, który leżał przed naszą bramą, od wieczora? Czego się tu kręci? — szepnęła do siebie.

Chwilę zastanawiała się, co czynić, ale wreszcie machnęła ręką i znikła w ciemności.

Tymczasem lady Florence przebiegła ogród i zatrzymała się pod drzwiami willi, gdzie ułożyła się znowu w pozycyi wyczekującej.

Niedługo potem pies usłyszał zbliżające się kurytarzem willi czyjeś kroki. Wydłużył głowę i przez szparę przy progu drzwi począł węszyć. Sierść najeżyła mu się na grzbiecie; widocznem było, że poczuł wroga.

Gdy drzwi się otworzyły i mężczyzna jakiś chciał przestąpić próg, lady Florence zastąpiła mu drogę.

Mężczyzna cofnął się przestraszony kilka kroków wstecz. Pies w miarę tego zbliżał się do niego.

Kopnąć psa, albo wypędzić go z sieni było trudnem, ostre, białe kły błyszczały bowiem jak u wilka i z całej postawy zwierzęcia widać było, że każdej chwili gotów jest rzucić się na mężczyznę.

Harry Brown, on bowiem był owym przez psa atakowanym mężczyzną, łamał sobie głowę, jakby uwolnić się od czworonogiego napastnika. Naraz przyszła mu myśl.

Postanowił powoli cofnąć się tyłem ku drzwiom mieszkania, otworzyć je ręką poza plecami i przecisnąwszy się przez drzwi, szybko je zamknąć za sobą. Wtedy pies zostałby na kurytarzu, a on przez okno swej pracowni wyskoczyłby do ogrodu.

Ale pies widocznie przeczuł instynktem jego myśli.

Ledwie ręką dotknął Brown klamki, pies jednym susem skoczył na drzwi i otwarł je sobą.

Brown bojąc się napadu cofnął się w kąt pokoju. Przeciwnicy stali znowu naprzeciw siebie w ciemnym pokoju. Jedyną korzyść, jaką odniósł Brown, było to, że mógł zaświęcić żyrandol elektryczny, taster bowiem miał tuż przy sobie.

Przypatrzył się psu przy świetle i zadrżał. To musiała być lady Florence. Thomson tak opisywał wygląd psa Szerloka Holmesa. Byłto zatem pies policyjny, napastnik wcale groźny.

Wysilał głowę, aby wynaleźć sposób wydostania się z towarzystwa zuchwałego psa.

Przysunął się do biurka i usiadł na krześle, rozmyślając, co zrobić. Rewolweru nabitego w biurku nie miał. Choćby czekał na służącą, która zjawi się rano, to mu nic ona nie pomoże, według tego bowiem co, jak opowiadał Thomson, miało miejsce w szynku pod „Ślepą kurą", pies mając do czynienia z dwoma przeciwnikami, skoczy jednemu pod gardło i pogryzie, może nawet śmiertelnie.

Co robić?

Pot kroplisty wystąpił mu na czoło.

Mr. Brown wiedział, co znaczy obecność psa w jego mieszkaniu.

Był jego oskarżycielem.

Śmiał się poprzednio, kiedy Thomson opowiadał mu, że pies wyszuka mordercę Jonatana Fielda. Mógł się wtedy śmiać, gdyż Thomson powiedział mu, że podejrzenia obciążają Roberta Kalstona do tego stopnia, że mają go uwięzić.

Teraz zaś miał tego psa nad sobą.

Usiłował powstać z krzesła.

Ale głośne warczenie zmusiło go do pozostania na miejscu.

Nie mógł uciec!

Przerażony patrzył przed siebie.

W szufladzie biurka, leżał rewolwer, nienabity, ten sam kaliber, jaki pozostał przy mniemanym samobójcy. W tej szufladzie była także fałszywa broda, której dotąd nie spalił.

Gdy przyjdą do niego i zastaną psa, znajdą te corpora delicti.

Nie ma jeszcze dnia! Trzeba je usunąć... niestety, nie może.

Pies!

Nadradca nie chciał dobrowolnie się poddać, musi zatem podjąć walkę z czworonogiem.

Czoło jego zrosił zimny pot; nie powinien się bać śmierci, musi pozostać zwycięzcą wobec... psa.

Ręka jego leżała na biurku.

Niepewnym wzrokiem przebiegł po niem.

Są nożyce!

Powoli! Musi je dostać w swe ręce!

Ostrożnie posuwał rękę po biurku.

Lady Florence zaczynała warczeć. Brown jednak nie dawał się odstraszyć i posuwał rękę coraz bliżej ku nożycom.

Poczuł je pod palcami i pociągnął ku sobie.

Lady Florence przyczaiła się gotowa do skoku.

Jednym ruchem powstał z krzesła i rzucił się na psa.

Pięścią chciał go powalić na ziemię, a potem nożycami przebić. Ale w tej sekundzie skoczyła lady Florence i ugryzła go w rękę.

Brown potrącony silnym psem zatoczył się i upadł na dywan plecami. Nożyce wypadły mu ze skaleczonej, cieknącej krwią ręki.

Lady Florence położyła się swem cielskiem na

piersiach nadradcy policyjnego, tak że paszczę miała tuż przy jego szyi.

Nie mógł się zupełnie poruszać.

* * *

Thomson powrócił do pokoju prokuratora i rzekł:

— Pana nadradcy nie ma w kancelaryi.

— Zawsze o tym czasie jest już w biurze — mówił prokurator. – Przysłał jakie usprawiedliwienie? Możliwe, że wybrał się na poszukiwania za swoją żoną?

— Nie, zostawiłem mu przecież list z zawiadomieniem, że opuszczam go wyjeżdżając z Kalstonem — wtrąciła się mis Brown.

— Nie mogę zrozumieć, coby go powstrzymało od przyjścia do biura? — mówił prokurator.

Harry zastanowił się: przyszło mu do głowy przypuszczenie, o którem zupełnie nie myślał.

— Przepraszam, czy nie widziała pani w pobliżu willi, jakiego psa? – spytał panią Brown.

— Psa? Tak. Był to brytan; wieczorem był już przy furtce ogrodu, zanim mogłam temu przeszkodzić.

— To była lady Florence! – zawołał Harry. — Wiecie panowie co to znaczy?

— Nie do uwierzenia! — krzyknął równocześnie prokurator i Thomson.

Mis Mary Brown patrzyła to na jednego to na drugiego.

Nie rozumiała jeszcze o co chodzi.

Harry Takson zwrócił się do detektywa.

— Miał mr. Brown w biurze maszynę do pisania?

— Naturalnie!

— W takim razie najlepiej będzie. jeśli zaraz pojedziemy do willi mr. Browna, żeby nie było zapóźno.

Wkrótce stanęli na miejscu, jechali bowiem w szybkiem tempie automobilem.

Spotkali w sieni przerażoną służącą; zapłakana jęczała:

— Pomyślcie panowie! Pan leży w swoim pokoju na podłodze a na jego piersiach straszny jakiś pies. Światło elektryczne wciąż się jeszcze pali. Nie wiem skąd się wzięło to psisko?

Gdy szli korytarzem spytał Thomson:

— Myśli pan, że mu co zrobił?

— Nie — odparł Harry. — Nie napadłby go zupełnie, gdyby Brown nie chciał go uśmiercić. Lady Florence nie zabija ludzi, chyba jeśli nie ma innej drogi wyjścia i musi bronić swego życia. W każdym razie mr. Brown, będzie tak przerażony, że nie będzie miał siły kłamać...

— Przekonany pan jesteś, że mr. Brown...

— Tak! — rzekł Harry, zanim Thomson dokończył pytania.

Weszli do pokoju Browna.

Warcząc i pokazując zęby, stała lady Florence, pies policyjny, nad złoczyńcą. (Patrz rycinę tytułową).

Słysząc głos Harrego, opuścił pies swą ofiarę.

Położył się u nóg Harrego z taką niewinną miną, że zdawało się, iż dziecku nawet nie wyrządziłby krzywdy.

Harry Brown nie odważył się wstać; jego oczy patrzyły ciągle na psa. Straszne godziny, jakie przebył wobec lady Florence, w których każdej sekundy dbał o swe życie, nie przeszły bez wrażenia.

Wyglądał, jakby postarzał się o kilka lat.

Harry Takson zawołał:

— Wstań pan. Wie pan już może, dlaczego tu jesteśmy i że oskarżamy pana o morderstwo, dokonane na osobie Jonatana Fielda. Przyznaje się pan do czynu?

Mr. Brown ani drgnął, tylko zachrypniętym głosem wykrztusił:

— Tak, tak! Przyznaję się! Ale weźcie psa!

Harry wziął lady Florence na smycz.

Teraz dopiero odważył się nadradca powstać z podłogi.

* * *

Harry przyprowadził lady Florence do biurka. Tu zwróciło jego uwagę zachowanie się psa przy jednej z szuflad.

W niej znaleziono fałszywą brodę i rewolwer nienabity. Były ślady, że jeden nabój był wystrzelony, a inne później wyjęte.

Harry Brown skreślił dokładnie motywy swej zbrodni.

Stracił wielkie sumy na giełdzie, wiedział, że żona jego otrzyma spadek po Fieldzie. Ponieważ miał z nią wspólność majątkową, więc był zarazem właścicielem przyszłych pieniędzy.

Chciał okryć morderstwo pozorem samobójstwa; ponieważ sam nie miał odwagi wykonać morderstwa, zjednał sobie do tego czerwonego Maksa za tysiąc marek. Połowę dał mu odrazu, drugą zaś miał mu przynieść pod „Ślepą kurę“.

Od Thomsona dowiedział się, że wykryto morderstwo i że Maksowi grozi niebezpieczeństwo.

Ponieważ nikt nie domyślał się zbrodni, sądził Brown, że najlepiej będzie, jeśli usunie Thomsona. Dlatego napisał znany list na maszynie do Maksa, aby nie poznano jego pisma.

Zamiast Thomsona pozbył się czerwonego Maksa.

Nadradca zauważył, że żona jego kocha się w malarzu Kalstonie i ma zamiar z nim uciec, przekonał się o tem z przejętych listów. Liczył się właśnie z tem, że przy oskarżeniu Kalstona o morderstwo, będzie mógł zaczepić testament i cały spadek jemu przypadnie. Żonę byłby nawrócił, gdyby jej kochanka skazano jako mordercę na śmierć, lub dożywotnie więzienie.

Tymczasem odkryło się milczenie ścian, ponieważ lady Florence poszła śladami, których człowiek ani widzieć ani czuć nie może...

Harry Brown został skazany na karę śmierci, którą mu zamieniono na dożywotnie więzienie. Dwa razy dano mu sposobność do odebrania sobie życia, ale tchórz wolał haniebne więzienie, niż oczyszczającą śmierć.

Żona przeprowadziła sądowy rozwód z Brownem i jest teraz szczęśliwą małżonką Roberta Kalstona. Oboje żyją szczęśliwi na przedmieściu Londynu.

A lady Florence?

Spełniła później jeszcze niejeden czyn, świadczący o jej sprycie.

KONIEC.

Następny Nr. 46: „Tajemnica podejrzanego domu".

ROZMAITOŚCI.

Krwawa walka o życie złodzieja.

W amerykańskiem mieście Kairo w Stanie Illinois przyszło przed dwoma tygodniami do rozruchów ulicznych.

Z powodu pewnego murzyna, którego chciano zlynchować, nastąpiła walka uliczna między wzburzonym tłumem a strażnikami. Kilkaset osób liczące zbiegowisko usiłowało wykonać sąd doraźny na pewnym murzynie, który skradł sakiewkę pieniężną i z tego powodu został aresztowany. Tłum zebrał się przed aresztami i zażądał wydania ne-

4) FELJETON.

Dyabelski tuzin.

Ze wspomnień angielskiego detektywa.

Najprawdopodobniej był to sam Wistanley, lub jeden z jego spólników, który postarał się zapewne wszelkie ślady za sobą zatrzeć.

Uzyskawszy pozwolenie policyi na wejście do dawnego lokalu agencyi Wistanleya, skorzystałem z niego natychmiast. Firma była zbyt przezorna, aby na miejscu zostawiać cośkolwiek więcej wartościowego i nadającego się na zajęcie egzekucyjne. Były tam przeważnie używane sprzęty biurowe, łącznej wartości jakich dwudziestu funtów szterlingów. Dalej znalazłem trochę papieru pakunkowego i całe stosy blankietów firmowych i formularzy rachunkowych. Ani jednego listu, ani jednej kartki nie pozostawiono, z których możnaby wpaść na jakikolwiek trop.

Rewizya lokalu po firmie Wistanleya, aczkolwiek nie przyniosła żadnego rezultatu, dała mi tą pewność przynajmniej, że mam do czynienia z dobrze zorganizowaną bandą zuchwałych i przebiegłych złoczyńców. Moje jednak doświadczenie kryminalisty, kazało mi mimo to być najlepszej myśli, zwykle bowiem, nawet najsprytniejsi i najostrożniejsi zbrodniarze zdradzali się drobną nieuwagą i małem jakiemś głupstewkiem.

Nie traciłem zatem zupełnie nadziei, że wkońcu wytropię oszustów i oddam w ręce sprawiedliwości.

Nawet taki szczegół, że towary były odsyłane do Paryża, nie był bez znaczenia i z góry już cieszyłem się, że kilka tygodni spędzę w tej wesołej, rozbawionej stolicy.

Aby nie pominąć żadnej sposobności do uzyskania jak największego materyału śledczego, umieściłem we wszystkich dziennikach wychodzących w Manczesterze inserat, że każdy funkcyonaryusz byłej agencyi Wistanleya & Co. przy Foutain Street, proszony jest uprzejmie o podanie swego adresu firmie Piotr Gregson et Comp., od której za udzielenie pewnych wyjaśnień, otrzyma wyna-

gra. Od naczelnika więzienia domagano się, aby kazał murzyna wyprowadzić, gdyż mieszkańcy chcą zarządzić nad nim natychmiastowy sąd. Naczelnik wzbraniał się tego uczynić. Wtedy roznamiętniony tłum chciał wyłamać bramę więzienia i wtargnąć do wnętrza. Wobec tego niebezpieczeństwa, naczelnik więzienia obawiając się o zdemolowanie budynku i zlynchowanie murzyna, a może nawet kilku innych jeszcze aresztowanych, polecił straży więziennej dać salwę karabinową. Jeden biały został zabity, a kilkunastu ciężko i lżej rannych. Wobec wzburzenia w mieście odeszło do Kaira kilku oddziałów wojska, aby pilnować porządku i bezpieczeństwa publicznego.

Postęp w Chinach.

Jak wiadomo do kardynalnych fizycznych zalet kobiety chińskiej — podobnie zresztą jak i u kobiet całego świata — należy w pierwszym rzędzie — mała nóżka. Wiadomo również, na jak barbarzyńskiej drodze osiągają chińscy rodzice to, że córki ich mają „idealnie małe“ nogi.

Otóż od powicia krępują oni w sztuczny, ogromnie niehygieniczny i bolesny sposób rozwój ich stóp, krępując je bandażami, tak, iż panna chińska doszedłszy lat swoich dojrzałych — posiada rzeczywiście stopy nie większe od dziecka lub dużej lalki. Ale moda ta ma ten skutek, że żadna Chinka prawie nie może chodzić o własnej sile, lub z trudem tylko sama naprzód się posuwa w specyalnie do okaleczonych nóg swoich przystosowanem obuwiu.

Obecnie wydał chiński minister rozporządzenie, zakazujące pod surową karą kaleczenia w ten sposób nóg dziewcząt przez rodziców.

Postępowi Chińczycy spodziewają się, że ustawa ta położy wreszcie tamę temu barbarzyńskiemu zwyczajowi.

Już przed kilku laty — nie żyjący dzisiaj — genialny mąż stanu Li-Hung-Czang — zabronił rodzicom tego rodzaju zabiegów.

Ciekawa kroniczka.

W kinematografie następują po sobie obrazy w przeciągu $^1/_{15}$ części sekundy.

Jeszcze żadna zakonnica nie umarła na paraliż.

Otwór krateru Haleakala ma obwodu 45 klm.

---

grodzenie w kwocie pięćdziesięciu funtów szterlingów. Chociaż inserat ukazywał się codziennie przez cały tydzień, żadnego zgłoszenia nie było. Widocznie trzej młodzi ludzie zatrudnieni u Wistanleya, byli ze szefem w porozumieniu.

Następnie zwróciłem swą uwagę na urzędników i funkcyonaryuszy agencyi Gregsona & Co., bo nie mogłem wyzbyć się myśli, że ktoś z nich był zdrajcą na rzecz Wistanleya. Szef firmy i jego synowie podali w wątpliwość moje przypuszczenia, aby ktokolwiek z ich biura mógł porozumiewać się potajemnie z agencyą Wistanleya, mieli bowiem do swych funkcyonaryuszy zupełne zaufanie. Mimo to, oświadczyli gotowość służenia mi wszelkiemi informacyami.

Na wstępie sprawdziłem, że korespondent firmy, przez którego ręce przechodziły wszystkie listy, był w wieku 29 lat. Był on z urodzenia Francuzem, ale od dłuższego już czasu przebywał w Anglii. Nazywał się Adolf Sigris, a odznaczał się znajomością kilku języków. Obok swej ojczystej mowy francuskiej, władał wprawnie językami angielskim, włoskim, hiszpańskim i niemieckim. Już dlatego, podobnie jak i dla rzetelnego spełniania swych obowiązków, był przez szefa firmy nader ceniony.

No moje pytanie, czy mógłbym z tym panem mówić, otrzymałem odpowiedź, że właśnie niedawno wszedł w związki małżeńskie i obecnie jest ze swą żoną w podróży poślubnej. Ze swą młodą połowicą pojechał do Paryża, aby tam odwiedzić krewnych, a jak w liście zawiadomił firmę, ma zamiar jeszcze zwiedzić wraz z małżonką Szwajcaryę.

Powyższe drobne szczegóły, kazały mi zwrócić szczególniejszą uwagę na pana Sigrisa. Uważałem sobie za obowiązek wydobyć o tym panu jaknajwięcej wiadomości, zarazem jednak wystrzegałem się wyrazić do właścicieli agencyi Piotra Gregsona i Spółki z czemkolwiek, coby dobre imię ich dzielnego korespondenta podawało w wątpliwość.

(C. d. n.).

Wydawca: Aleksander Ripper. Odpowiedzialny redaktor: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.

Niniejszem podajemy spis najnowszych Numerów, traktujących między innymi artykułami także i o przygodach genialnego Króla detektywów.

Wyznawcy dyabła.
Pierścień Maryi.
Fałszywy generalissimus.
Dusiciel z Pragi.
Zbrodnicza droguerya.
Katastrofa budowlana.
Mężczyzna pokojówką.
Trzynaście kul.
Rabuś dziewcząt.
Tajemnica pergaminu.
Miłosny szał króla złodziei.
Zagadkowy oblubieniec.
Tajemniczy szofer.
Podróż na północ.
Joly, pies policyjny.
Yoril, bandyta uliczny.
Niebezpieczny zakład.
Błędne ogniki.
Głodomor Ricardo Sacco.
Morderstwo w haremie.
Fabrykant dyamentów.
Tajemnica hrabiny Castellone.
Pamiętnik umarłej.
Zbudzona z letargu.
Doświadczenie rzeźbiarza.
Brylanty za pięć milionów.
Zwój włosów.
Demon z Stamford-Hill.
Tragedya zazdrości.
Dżentelmen-włamywacz.
Wampir-Opium i jego otchłanie.
Straszna historya pewnej perły.
Tragedya dziedziczki.
Tajemnica spętanej ręki.
Inżynier szacha.
Człowiek-automat.
Ostatnia ofiara bożka.
Brosza Neny Sahib.
Lady Florence, pies policyjny.
Spadkobiercy z Randolf-Hill.
Fałszerze mumii egipskich.

Co sobotę ukazuje się nowy numer naszego Tygodnika, opatrzony piękną, trójkolorową illustracyą.

Cena pojedynczego Nru 30 hal. = 15 kop. = 25 fen.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, ajencyach dzienników i trafikach, oraz wprost w Administracyi.

Wydawca: Aleksander Ripper. Odpowiedzialny redaktor: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera, Kraków.

